Nr. 9. Kraków, dnia 27 lutego 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

O porozumienie słowiańskie.

Kilkudniowe, poufne obrady Komitetu słowiańskiego, w Petersburgu zakończyły się oświadczeniem Polaków, którzy wręcz opowiedzieli się przeciwko zjazdowi słowiańskiemu w Zofii. Zdaje się, że udział polski w ruchu słowiańskim został bardzo poważnie zachwiany.

Przyjrzyjmy się faktom.

Współczesny ruch słowiański miał swego poprzednika w ruchu wszechsłowiańskim, panslawistycznym, który w połowie XIX w., zwłaszcza w okresie po powstaniu styczniowem, chciał zjednoczyć całą Słowiańszczyznę pod jedną egidą Rosyi. W frazesy o ogólno-słowiańskiem braterstwie stroiła się zasadnicza idea panslawistyczna: stopienia całej Słowiańszczyzny w morzu rosyjskiem.

Czy w tych warunkach Polacy mogli z tym ruchem współdziałać? Czyż nie jest zrozumiałe i naturalne, że wszelkich środków użyli, aby w panslawizmie nie ugrząść i aby przy oficyalnych występach panslawistycznych (zjazd naukowy) ich nie spotkał los taki jak Bułgarów, którym kazano mówić po rosyjsku.

Mimo to w Polsce pozostały po ruchu całym pewne naleciałości. Z drugiej strony ukrócenie praw naszych przez rząd pruski w poglądach ogółu ssączyło nadzieje na Rosyę, która jako najsilniejsze państwo słowiańskie miałaby się za prześladowanymi Polakami ująć. To spowodowało moskalofilizm w kołach polskich, zwłaszcza w zaborach: austryackim i pruskim, pewne oglądanie się na Rosyę, która udzielićby miała pomocy nam w zmaganiu się z wpływami niemieckimi. Ze wzrostem wpływów ugodowych w całej Polsce szedł równomiernie wzrost sympatyi do Rosyi, szło obniżanie naszych aspiracyi politycznych, ograniczanie naszej walki do obrony mowy i ziemi, a wyrzekanie się zupełne jakichkolwiek dążeń do samoistności politycznej.

Ze wzrostem jednak ducha demokratycznego w umysłowości polskiej wpływy ugodowe poczęły bardzo słabnąć. Kierunek ideowy jako wyraz samodzielnych dążeń narodowych postawił inaczej zupełnie nasz stosunek do Rosyi. O ile inne kierunki umysłowe uznawały w Rosyi element wyższy, o którego poparcie Polacy powinni zabiegać a którego wyższość zarówno w sprawach politycznych, jak i w życiu umysłowym uznawać — o tyle kierunek demokratyczny Polskę stawiał równorzędnie z Rosyą, społeczeństwo polskie uważał za równe rosyjskiemu pod względem praw do rozwoju kulturalnego i gospodarczego, a za wyższe od rosyjskiego pod względem kulturalnym o tyle, o ile kultura łacińska, rzymska, na której Zachód Europy i Polska wyrosły, jest wyższa od wschodniej, greckiej, skąd wyrosły Ruś i Rosya.

Takie postawienie stosunku Polski do Rosyi w rozważaniach teoretycznych pozwoliły i wyrazicielom w praktycznej polityce tego kierunku i stronnictwom całej Polski wziąć udział w tym ruchu nowosłowiańskim. Inicyatorem tego ruchu jest Karol Kramarz, przywódca młodoczeskiej partyi w Czechach, który przez swe wystąpienia nowosłowiańskie chciał ratować nadwyrężone swe wpływy w kraju.

Neoslawizm był przedewszystkiem akcyą przeciwniemiecką. Niemcy nieustannie prą na Wschód, W Czechach i Polsce mają silne swe forpoczty. W Rosyi rząd ulega silnie ich wpływom. Zachłanność niemiecką można złamać jedynie jednolitem i systematycznem działaniem zorganizowanem. Aby złamać napór germański i aby występować jednolicie, Słowianie powinni zaniechać wewnętrznych niesnasek i pracować wspólnie, wzajemnie się popierając, wyznając naczelną zasadę: *równi z równymi.*

Do akcyi nowosłowiańskiej przystąpili oprócz Czechów i Polaków, oprócz narodowości słowiańskich na Bałkanie — także i Rosyanie. Znaleźli

się pomiędzy Rosyanami także niektórzy ludzie dobrej woli, którzy za pierwszy warunek współdziałania słowiańskiego uważali *porozumienie polsko-rosyjskie.* Na odbytej w lipcu 1908 r. konferencyi w Pradze uchwalono rezolucyę (na wniosek rosyanina Krassowskiego), warunkującą rozwój idei nowosłowiańskiej od porozumienia polsko-rosyjskiego; co do Polaków wszyscy mówcy podkreślali konieczność nadania nam przez Rosyę wszelkich praw potrzebnych do normalnego rozwoju społeczno-politycznego. Zdawaćby się mogło, że kwestya polska w Królestwie wchodzi na drogę rozumnego załatwienia. Były to jednak złudzenia, które życie szybko rozwiało.

Wnet bowiem po konferencyi praskiej rząd rosyjski przy poparciu takich filarów neoslawizmu, a swoich zauszników, jak Bobriński i Filewicz, począł gorliwie forsować wyodrębnienie Chełmszczyzny i dla tego nowego rozbioru Polski pozyskał odpowiednie koła w Dumie, a nawet „narodową" opinię rosyjską. Wnet bowiem w samem Królestwie Polskiem rząd zaczął występować wobec naszych instytucyi społecznych tak agresywnie. jak za dawnych czasów: zamykano szkoły, instytucye, towarzystwa kulturalne i ekonomiczne, aresztowano bezprawnie pracowników społecznych, których największą winą była — praca społeczna! Na domiar wszystkiego Rosyanie poczęli domagać się w imię neoslawizmu od Polaków zaboru austryackiego uznania narodowości... rosyjskiej w Galicyi, chociaż jej tam zupełnie niema.

W tych warunkach zbierała się konferencya słowiańska w Petersburgu, aby uchwalić założenie Banku ogólno-słowiańskiego, przez coby uwolniono się z pod przewagi kapitalistycznej niemieckiej, i aby ustalić termin zjazdu wszechsłowiańskiego w Sofii, gdzieby proklamowano wszechsłowiańskie braterstwo. Obie sprawy wobec nas zakrawają conajmniej na ironię: Bank wszechsłowiański, na który kapitał ma podobno dać... Berlin!, pozostanie w ręku Rosyan, zjazd sofijski ma mówić o braterstwie wtedy, kiedy Rosya prześladuje Polaków w Królestwie.

Delegacya polska złożyła deklaracyę, po której myśli Polacy usuwają się od zjazdu sofijskiego wobec zupełnego w Rosyi upadku idei nowosłowiańskiej. Czynu tego wyczekiwała cała Polska, która nie mogła pogodzić się nigdy z tem, że jej reprezentanci biorą udział w obradach na temat wzajemnego braterstwa ze swymi prześladowcami.

Kwestya słowiańskiego porozumienia i współdziałania posiada dla nas pierwszorzędne znaczenie. Nasamprzód Polacy tworzą awangardę w tym ruchu, bo oni na całej linii stykają się i zmagają z Niemcami. Całe dzieje Polski od zarania naszej historyi po dzień dzisiejszy to jedno pasmo walk wzajemnych. O ile byliśmy przedmurzem chrześciaństwa w walce z barbarzyństwem mongolskiem, o tyle jesteśmy przedmurzem słowiańszczyzny w walce z siłą niemiecką.

Aby atoli można skutecznie walczyć z Niemcami, musimy mieć wolne ręce od Wschodu, musimy mieć zabezpieczone tyły wobec Rosyi i musimy uzyskać normalne warunki życia. Nie po to zgłosiliśmy swe przystąpienie do akcyi nowosłowiańskiej, abyśmy mieli naszą odrębność narodową stopić w morzu ogólnosłowiańskiem a właściwie: ogólno-rosyjskiem, nie po to domagamy się porozumienia polsko-rosyjskiego, aby za jego cenę rezygnować z naszych praw i naszych dóbr.

Polacy uczynili wszystko, *co mogli.* Ale porachunki nasze z Rosyą nie są skończone. Nie my mamy rezygnować z praw, ale ona udzieleniem praw musi nam udzielić możności do skutecznego wstrzymania nawały germańskiej. Dotychczasowa polityka rządu rosyjskiego w Polsce idzie wprost przeciw naszym zasadniczym postulatom i wręcz zmierza do zupełnego wynarodowienia Polaków. Dopóki ona nie ulegnie zupełnym zmianom, niema mowy o wzajemnem porozumieniu. A najlepiej na tem wychodzi — ten trzeci!

***

Po Sejmie.

Kraków, 20 lutego.

Dzisiaj chcielibyśmy poświęcić słów kilka przedewszystkiem Sejmowi galicyjskiemu i sprawom jego. Jakże przykro, że odroczony Sejm nie pozostawia za sobą odpowiedniego dorobku, któryby sesję minioną uczynił bardziej ożywioną i płodniejszą w fakty.

Powiedzmy szczerze: Sesja sejmowa zawiodła nasze oczekiwania.

Kilka spraw naczelnych czekało jej załatwienia: sprawa reformy wyborczej sejmowej, reorganizaja Rady Narodowej, utworzenie Banku przemysłowego, uchwalenie budżetu i uzdrowienie naszych stosunków finansowych.

O Banku przemysłowym i uchwaleniu budżetu tudzież i sanacji stosunków finansowych mówiliśmy poprzednio. Bank przemysłowy uchwalono, a kapitał doń ma wejść także niemiecki. Rozumiemy co to znaczy: wpływy krajów i wpływy niemieckie będą się paraliżowały w nim nieustannie i brak nam wprost nadziei, aby Bank mógł

się w przyszłości poszczycić jakiemikolwiek rezultatami.

Przy dyskusyi budżetowej mówiono wiele o polityce, a mało o stosunkach finansowych. Budżet zamknięto deficytem, ale nie znaleziono żadnych nowych środków zaradczych: Szkolnictwo niedostatecznie uposażone, nauczycielstwo domagające się słusznie podwyższenia płac, rolnictwo bez należytego uposażenia, setki spraw czekają bezustannie na załatwienie. Przykre położenie i beznadziejne!

Rada Narodowa, która winna się stać sumieniem narodowem i która powinna być naczelnym wyrazicielem naszej opinii publicznej w kraju, nie została zreorganizowana, ale odroczona, tak jak odroczono reformę wyborczą. I jasno trzeba sobie zdać sprawę, że sfery kierownicze nie życzą sobie ani instytucyi, która obok nich miałaby wpływ na ogół (Rada Narodowa), ani nie życzą sobie rozszerzania praw obywatelskich szerokich sfer ludności.

Wogóle w naszej polityce krajowej brak i samodzielności i twórczości. Rzeczy załatwia się połowicznie, ut aliquid fecisse videatur; nie chce się narażać ani Rusinom, wobec których jest już się aż nadto ustępliwym, nie chce się również dać przystępu żywiołom politycznie młodym, któreby wniosły w Sejm więcej życia.

A Sejm, jako najważniejsza nasza instytucya polityczna, ma dla nas wartość największą i jego znaczenia marnowaniem czasu nie wolno nikomu podkopywać u ogółu!

Siew myśli.

„Trzeba siać myśli, ażeby wschodziły w czyny".

Jakże wspaniała owa niwa dusz milionów, na którą pada siew myśli!

Jakże niezmierzone bogactwo trzeba mieć w czuciu i w wiedzy, ażeby na ów siew wiecznotrwały nie brakło zasobu i nie brano plewy w zamian za czyste i jędrne ziarno...

Od wieków przez wieki idą wytrwali pracownicy i siew rzucają.

Jednak nie wszędzie wschodzą czyny jako plony olbrzymiego żniwa i ludzkość jeszcze nie umie myśli rzucanych przetwarzać w to ziarno, które powinno stać się bogactwem narodów.

Wielcy myśliciele, poeci, uczeni, badacze, wychowawcy i przewodnicy pokoleń siew myśli niosą, a jednak jakie jeszcze niezliczone szeregi stoją bez myśli i jak wiele dusz jeszcze nie więcej nad myśl o sobie i o zdobyciu chleba dla siebie — nie objęło ani czuciem ani rozumem.

Dzieje się to dlatego, iż nie ma należytego przygotowania do przyjęcia myśli, iż tylko w pewnych kołach i na pewnych stopniach ludzie są zdolni do przyjmowania bogatych darów.

My — Polacy w pracy nad posiewem myśli popełniamy zawsze te same omyłki.

Za prędko chcemy działać i za wiele ziarn radziśmy sypać. Wywołujemy z początku zapał, napinamy wolę do ognistego działania, a po krótkim czasie i sami stygniemy i drugich zobojętniałych widzimy.

Naszą ogólną wadą i winą jest chęć pracy gorączkowej. Jak siać myśl, uczyć, wzbudzać, czytać, to tak prędko i ogniście jak gdyby odrobić można było w pół roku co miało być wykonane w latach kilku.

Chcielibyśmy, ażeby czytano u nas gwałtownie i szybko, ażeby na odczyty uczęszczano tłumnie i wytrwale, ażeby mówiono zawsze o rzeczach nader poważnych i ściśle naukowych.

Lecz zapominamy, iż myśl sieje się nietylko słońcem naukowego wykładu i nie tylko wołaniem o słuchanie uczonych i mądrych ludzi.

W życiu codziennem, w naszej monotonni pospolitych zajęć, w zetknięciu się z ludźmi pracującymi nie idealnie, jakże wiele myśli można rzucać, jak wielki siew prawdy i cnoty można powoli dzień po dniu wykonywać!...

I w rozmowie przy herbacie i na przechadzce z dziećmi i w rodzinnnym kole przy zabawie lub pracy można siać myśli, po których wschodzą czyny!.. Taka praca trwalszą jest od gorączkowej pracy i egzaltowanej, ale o wiele trudniejsza i do niej należy się przygotować sumiennie.

Najlepszem zaś przygotowaniem do siewu wśród otoczenia jest czytanie. Ludzie, którzy bardzo mało czytają lub czytają tylko marne rzeczy, ci nigdy siewcami narodowych zasad i uczuć nie staną się. Kobiety polskie jeśli pragną w rodzinach działać zaiste z pożytkiem dla narodu muszą mieć dzieła poważne w domu, dzienniki narodowe pod ręką i wczytywać się w literaturę ludową, bo inaczej staną się tylko świergotkami rozweselającymi, a nie będą pracownicami rzucającymi siew myśli na przyszłość.

Płomień.

Królowa Jadwiga.

Dnia 16 lutego minęło 519 lat, a więc przeszło pół tysiąca, od chwili pamiętnej, rzec można najważniejszej w dziejach Ojczyzny naszej. W tym dniu bowiem, r. 1386, odbył się w krakowskiej katedrze na Wawelu ślub młodziutkiej 15-letniej królowej naszej Jadwigi z księciem litewskim Władysławem Jagiełłą. Przez ten związek małżeński litwini, ostatni w Europie naród pogański, przyjęli wiarę Chrystusową. Kościół zyskał tysiące nowych wyznawców, a Polska, przyłączając nowe dwie ziemie: Ruś i Litwę, stała się potężnym państwem.

Młodziutka królowa Jadwiga, której było zasługą pozyskanie Litwy dla wiary św. i połączenie jej z Polską, niemałym, bohaterskim okupiła je poświęceniem. Dlatego też pamięć jej czci naród cały, kocha ją jakby świętą. Każda polska niewiasta winna znać czyny i zasługi tej królowej, która po wszystkie czasy przykładem swoim uczy, jak wiele dokonać można cichym poświęceniem.

Był zwyczaj w owych czasach, że w możnych rodzinach książęcych i królewskich ledwie dzieci po kilka lat liczyły, już rodzice układali ich małżeństwa, a nawet urządzali uroczyste zaręczyny. Podobnie było i z Jadwigą. Ledwie pięć lat liczyła królewna, gdy ojciec jej i król węgierski, polski, Ludwik, przeznaczył jej na męża siedmioletniego wówczas, autryackiego księcia Wilhelma. Odbyły się uroczyste „zrękowiny“ młodziutkiej pary, poczem książę Wilhelm pozostał już na dworze króla Ludwika, by wspólnie z przyszłą swą żoną odbierać wychowanie pod okiem rodziców i światłych ludzi. Jadwiga kochała Wilhelma jak brata i ani przez myśl jej nigdy nie przeszło, aby mogła zostać żoną innego. Tymczasem gdy po śmierci ojca Polacy powołali młodziutką, 14 lat liczącą królewnę na tron, dowiedziała się, że przeznaczają jej na męża księcia litewskiego Jagiełłę. Któż potrafi opisać boleść i lęk Jadwigi na tę wiadomość!

Na zawsze ma się rozstać z ukochanym Wilhelmem, a zostać żoną człowieka, którego nie znała, wiedziała zaś, że był poganinem i dla niej dopiero miał przyjąć chrzest. Książę Wilhelm, dowiedziawszy się o zamiarze panów polskich, przybył do Polski, ale nie dopuszczono go do królowej.

Wtedy książę potajemnie starał się widywać z Jadwigą, gdy zaś i temu przeszkodził kasztelan krakowski i kazał dobrze pozamykać podwoje zamku, królowa miała porwać siekierę, aby gwałtem otworzyć wyjście. Taka gorąca i wierna miłość młodziutkiej Jadwigi podobała się poważnym panom polskim, bo świadczyła, że królowa, choć niewiele lat liczy, ale stały ma charakter, mimo jednak wzruszenia, jakim ich przejmowała jej stałość i cierpienie, nie odstąpili od swego zamiaru. Biskup krakowski Bożenta przedstawił Jadwidze, że gdy skłoni się do woli narodu, dokona tak wielkiego i sławnego czynu, że naród po wszystkie czasy będzie błogosławił jej imię. Mówił jej, że od niej zależy, czy liczny i mężny naród litewski przyjmie wiarę św., czy też dalej trwać będzie w błędach pogaństwa; przedstawiał, jak potężną stanie się Polska przez połączenie z Litwą, jak skutecznie będzie mogła walczyć z groźnym dla obu państw nieprzyjacielem, krzyżakami, których złość i przewrotność niebezpieczne już były wtedy dla całej Europy. Jadwiga odebrała z domu rodziców chrześciańskie i patryotyczne wychowanie; wiedziała dobrze, że dobro Ojczyzny i chwała Boża, a nie własne doczesne szczęście są celem człowieka, więc mądre słowa biskupa trafiły jej do przekonania.

W sercu jednak staczała straszną walkę, zdawało się jej, że przywiązanie do Wilhelma zwycięży nad obowiązkiem królowej. Wtedy w gorącej modlitwie zwróciła się do Boga z prośbą o siłę i oto, jak mówi podanie, Chrystus sam przemówić miał do niej z krzyża, który do dziś dnia pokazują w katedrze wawelskiej w Krakowie. Jadwiga, jeszcze przed chwilą wahająca się i niepewna, wstała mężna od modlitwy, gotowa poświęcić własne szczęście dla narodu. Gdy tedy przybyło poselstwo panów polskich do niej raz jeszcze i gdy najstarszy z panów, siwy już Dymitr z Goraja, ukląkł i błagał królową, aby skłoniła się do ich próśb, Jadwiga już się nie opierała. Zwyciężyła siebie i za to zwycięstwo usłyszała po raz pierwszy, jak ona, młodziutka dziecinka, jest matką narodu, matką ojczyzny.

Wkrótce potem przybył do Polski Jagiełło i przyjął chrzest św., na którym dostał imię Władysława; poczem odbył się ślub jego z Jadwigą, a następnie uroczysta koronacya na króla polskiego. Pierwszym czynem królestwa po koronacyi było szerzenie wiary św. na Litwie. Jadwiga towarzyszyła mężowi w podróży po nieznanym sobie lesistym kraju litewskim i z gorliwością apostołki uczyła i zachęcała Litwinów do porzucenia błędów pogańskich. Przez krótki czas życia swego, zmarła bowiem mając 29 lat, świadczyła wiele dobrego. Litość jej i miłosierdzie dla ubogich znane było wszystkim. Czas wolny poświęcała na



Fryderyk Chopin
ur. 22. II. 1810. — um. 17. X. 1849.

modlitwę i roboty kościelne, z których niektóre do dziś przechowują.

Rozum jej i łagodność sprawiały, że wielki wpływ miała na króla, który niejednej dobrej sprawy dokonał dla kraju za jej namową. Wielką zasługą Jadwigi było odnowienie najwyższej w kraju szkoły czyli Akademii, założonej w Krakowie przez Kazimierza Wielkiego, która odtąd nazywa się Jagiellońską i do dziś dnia istnieje; a wyszło z niej wielu uczonych i zacnych Polaków.

Te wszystkie czyny zjednały królowej Jadwidze wielką miłość i cześć narodu. Jej przykład powinien zachęcać każdą polską niewiastę do umiłowania tych cnót, któremi ona się odznaczała.

Patryotyzm ekonomiczny.

Na rozpisaną niedawno ankietę *Patryotyzmu Polskiego Przemysłowego* w Warszawie nadesłała znakomita nasza powieściopisarka *Eliza Orzeszkowa* następujący artykuł, który podajemy w całości:

Przeleciał był przed laty nad krajem naszym orkan straszliwy, zostały po nim rany, na ranach — ruiny. Nad ruinami i ranami, ręce, których rozpacz złamać nie zdołała, wywiesiły sztandar pod hasłem: praca organiczna, co znaczyło: praca wytężona około wznoszenia na ruinach — gmachu nowego, od najniższego piętra zaczynając, więc od bytu ekonomicznego, na którym piętra wyższe opierać się mają. Z głębin ekonomicznego pola wszystkie bogactwa jego lemieszem pracy wydobywać, wszystkie strony jego coraz nowemi bogactwy zasiewać i na tak przygotowanym gruncie potęgi materyalnej — pozwalać dopiero wzra-

stać ideom, ideałom i wszelkim tego rodzaju wieżom i ornamentom!

* * *

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się: nic słuszniejszego! Pieniądz rządzi światem. Może kiedyś, w przyszłości dalekiej, inaczej będzie, może nawet pieniądza wcale na świecie nie będzie. Ale tymczasem on rządzi światem i jest tym gruntem, na którym wyrasta oświata. Bogactwo i oświata w połączeniu — to potęga. Zdobądźmy tę potęgę, a pomimo tysiąca wichrów, które z powierzchni ziemi zmieść nas usiłują, ostaniemy się na niej silni i niewzruszeni. Idee i ideały, to romantyczne rojenia, które przywiodły nas na brzeg przepaści, to dla takich, jak my, bankrutów — zbytek. Później, w swojej porze, jeżeli będą potrzebne, przyjdą, ale teraz fundamenty zakładać i dolne piętra budować nam trzeba. Wieże niech sobie, jeżeli i kiedy chcą, wyrastają.. Jedno całe pokolenie, a wśród niego wiele umysłów pięknych, nawet wielkich, w hasło to uwierzyło i do ziszczenia go się zabrało. Przemysł, fabryki, handel, otrzymały patent na narzędzia ratunkowe; przed fabrykantem, przemysłowcem, inżynierem, myśliciele, poeci i ludzie stanów wszelkich prezentowali broń.

* * *

I cóż się stało? Pracy organicznej i tym, którzy hasło jej w świat rzucili, wytoczono w niewiele lat później proces tak głośny, że opowiadać go niema potrzeby i tak surowym wyrokiem zakończony, że choć kilku słowami złagodzić go chęć bierze. Sędziowie, którzy wyrok ten wygłaszali, z pamięci utracili to, w jakim momencie i na jakim gruncie rozległo się hasło, że było ono tą brzytwą, której tonący się chwytał, że w brzytwie była część metalu dobrego, że bądź co bądź, błogosławić wypada ręce, które na morzu rozpaczy narzędzia ratunkowe chwytały i kuły, że nakoniec do robót, pełnionych w takim jak ów, momencie, wśród takiego, jak ów, przeraźliwego dramatu, najściślej dopada przysłowie: łatwiej krytykować niż działać.

* * *

Jednak, z drugiej strony, prawdą jest niewątpliwą, że hasło pracy organicznej nie wydało owoców takich, jakich się po niem pierwsi jego heroldowie spodziewali, że wydało ono więcej owoców zpetnych i trujących, niż pięknych. Dlaczego? Nie było złem, było dalekiem. Nie było bezrozumnem, było jednostronnem. Ubóstwiało rozum, a raczej pewien gatunek rozumu — upośledziło uczucie. Wysunęło na pierwszy plan ludzkiego widzenia materyę; w daleką głąb perspektywy usunęło ducha. Wołając o budowanie najniższego piętra gmachu z pominięciem jego szczytów, udrzyło o najniższe piętro natury ludzkiej i rozbiwszy się o nie, wśród gwizdań publiczności, legło w gruzy. Omyłką hasła pracy organicznej, omyłką kapitalną było zlekceważenie tych wielkich potęg świata, któremi są idee. Z pozoru od rzeczywistości dotykalnych oderwane, przenikają je one potencyonalną siłą wzrostu i trwania. Nieobecność ich sprowadza w rzeczach ludzkich metamorfozy dziwne. W nieobecności ich — pracowitość w sobkostwo, serce w otwór kieszeni, chleb w kamień się zamienia. Bez nich — sumienie głuchnie, a wiedza jednem okiem tylko na świat patrzy... Gdzie idei i ideałów niema, tam niema miłości a rozumu może być tylko połowa, ta niższa, zawierająca w sobie spryt, zręczność, co najwyżej biegłość fachową. A gdzie miłość i rozum pełny nie istnieją, tam najkolosalniejsza suma zgromadzonego bogactwa sprawić nie może, ażeby istnienie narodu pomyślne było, uczciwe i trwałe.

* * *

Praca ekonomiczna zawsze i wszędzie jest bardzo ważna. Okoliczności, wśród których naród nasz żyje i walczy, nadają jej dla nas większą jeszcze niż gdzieindziej, wagę. Zachęcać więc do pracy ekonomicznej, drogi dla niej torować, narzędzia ulepszać i stwarzać jest koniecznością i obowiązkiem, których argumentami bardzo znanymi udowadniać nie potrzeba. To z jednej strony. Ale z drugiej, strzedz się, ogromnie strzedz się należy powtórzenia raz popełnionej pomyłki. Nie wypędzać z pracy ekonomicznej idei i ideałów, lecz ją temi przeciwnie najusilniej przenikać, przepajać, rozgrzewać, rozjaśniać. Nie pozwalać jej, ażeby sumienia czyniła głuchemi, rozumy jednookimi, a serca w kieszenie przemieniała. Pamiętać i ludziom z pamięci utracić nie dawać, że praca sama przez się cnotą nie jest i charakteru cnoty nabiera dopiero od celu, ku któremu zmierza. Praca sama przez się wielką panią nie jest, ale tylko sługą wielkich pań. Jest Olimp, na którym panują boginie i bogowie: idee i ideały; one są też celem świata, a praca, tylko środkiem do tego celu wiodącym, tyle wartym, ile warta ręka, która nią się posługując, zasadza ziemię trzciną cukrową albo piołunem, wznosi wspaniałe gmachy albo robi dziury w cudzych płotach. A skoro na powyższe wnioski przystaniemy, rzeczą jasną i prostą stanie się dla nas to, że silne zaprawianie pracy ekonomicznej pierwiastkiem patryotyzmu — pracę tę rozszerzać i na poziom wysoki wynieść nietylko może, ale musi.

* * *



Pod Twoją obronę uciekamy się...

Silne ukochanie ojczystego kraju i narodu, głębokie wzięcie do serca ich interesów i losów, serdeczna chęć jak najlepszego im służenia z jednej strony; a z drugiej, niemniej silne i głębokie uznanie obowiązku służenia im tak, jak dobre dziecko służy ojcu lub matce, jak kropla wody służy fali z którą płynie — oto patryotyzm. Uczucie i zarazem ideał. Miłość i idea. Wszystko, czego potrzeba, aby serce, sumienie i rozum człowieka od złych metamorfoz ustrzedz, ażeby pracy człowieka dać ten cel, który ją ze stanu prostego narzędzia — do wysokości cnoty podnieść może.

* * *

Wiem, wiem i pamiętam o dyskredycie, którym w czasach ostatnich wszędzie, a u nas — o dziwne i przdrażliwe zjawisko! — więcej niż gdzieindziej znaczna ilość ludzi uczucia i idee patryotyzmu okryła! Lecz śmieję się tylko z tego, jakbym śmiała się z kogoś, ktoby utrzymywał, że śnieg nie jest biały, ponieważ staje się czarnym, gdy miesza się z błotem. Śnieg jest białym, tylko nie trzeba brać go za jedno z błotem. Idea patryotyzmu jest wielka i uczucia z nią związane są dobroczynne i wspaniałe, tylko nie trzeba imionami ich nazywać złych namiętności ludzkich: pychy, chciwości, nienawiści. W stanie swej prawdy i czystości w ludziach zaszczepiony, ma patryotyzm moc ratowania wszelkich rzeczy ludzkich od upadków i rozkładów; a może właśnie pracy ekonomicznej, jej właśnie może najbardziej jest potrzebny, gdyż niezbędnie tkwiąca w niej troska o pieniądz, o zysk, o korzyć, niezbędne w nie lgnięcie myślą do materyi wytwarza większy niż gdzieindziej zbiornik czynników, które kuszą sumienia, wysuszają serca, przeszkadzają umysłom wzbić się do stanu pełnego, wielkiego rozumu.

* * *

W wartości człowieka zawartą jest wartość każdego dzieła jego ręki. Nie przemysłowiec, rzemieślnik handlarz, o interes własny troszcząc się tyle, ile tego niezbędna konieczność życiowa wymaga, z troską tą niższego rzędu połączą wysoką dbałość o interes, cześć, szczęście tych milionów, którymi jest naród, a o miliony razy wzrośnie ich wartość człowieka, z którą razem wzrośnie wszerz i w górę wartość ich wytwórczości. Do warsztatu pracy ekonomicznej, gdy zasnują go nici uczuć i idei górnych, chętnie zbliżą się ci, którzy teraz podejrzliwie nań patrzą, lub przystępują do niego ze wstydem. Przestanie być upokorzeniem praca choćby najniższa, a udręczeniem choćby najcięższa gdy ozłoci ją myśl szlachetna i zaprawi gorycz jej — miód miłości. Czoło uznojone wysoko podniesie pracownik młota, lemiesza, igły, czując się czcicielem i odnogą ołtarza wspólnego z pracownikiem pióra, dłuta, pędzla lub retorty. I nabierze blasku czystego, rozleje po ziemi strumienie bogactw różnozodnych, przestanie być stajnią Augiaszową, wzniesie się do godności przybytku Dobra — pąca ekonomiczna wówczas, gdy nad wrotami jej gmachu zajaśnieje głęboko i czytelnie wyryte hasło: *Dla Ojczyzny.*

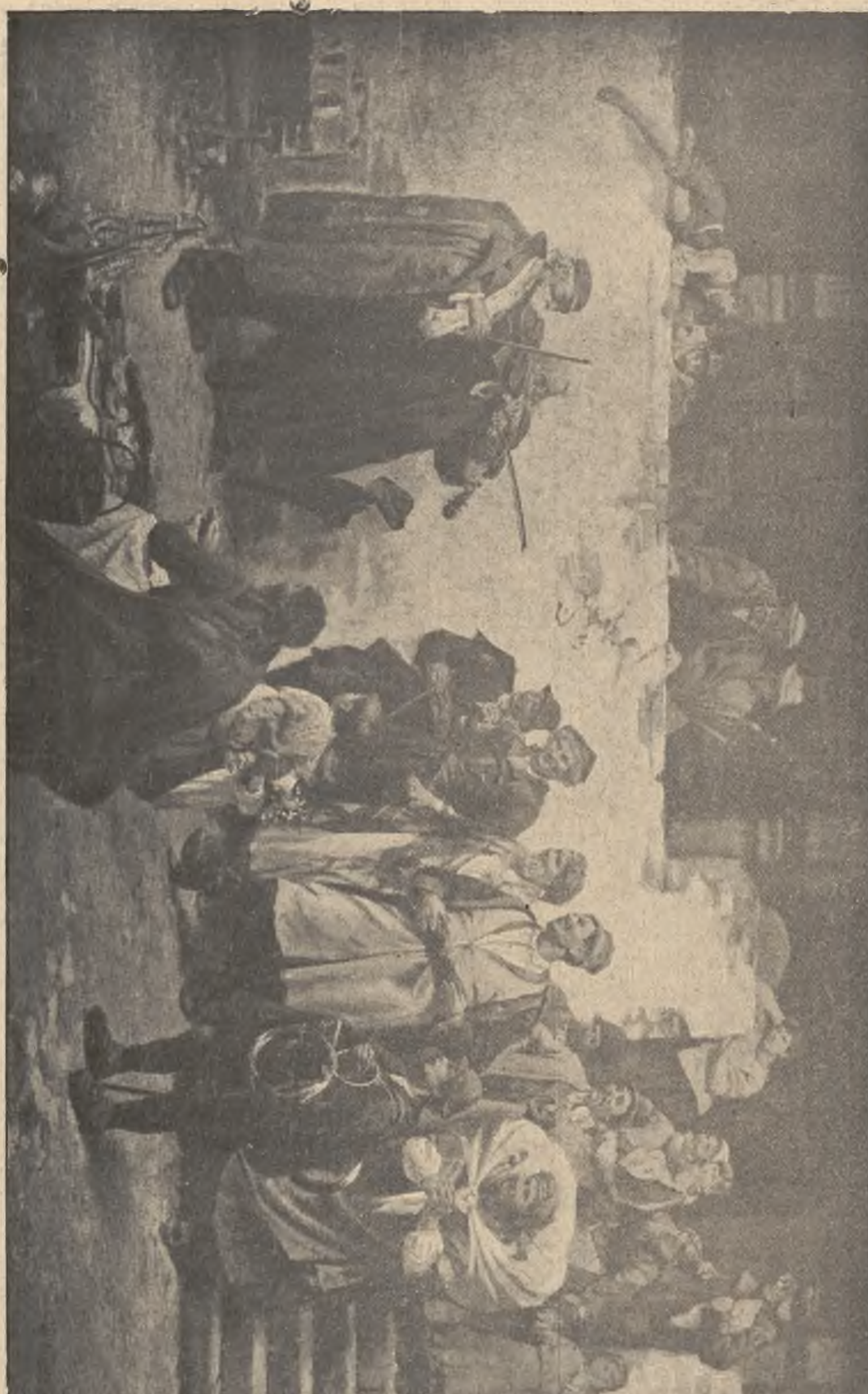
Eliza Orzeszkowa.

W Bretanii.

Północno-zachodni, trójkątny półwysep Francyi, wyrastający na linii pomiędzy ujściem Loary a zatoką St. Michel, wkraczający pomiędzy zachodnią część kanału La Manche i ocean Atlantycki, nosi nazwę Bretanii, a ongi nosił nazwę celtycką Armoryki, t. j. krainy Morza, i to zupełnie słusznie, gdyż morzu zawdzięcza poszarpanie swych wybrzeży, swój klimat burzliwy, znaczną część swych produktów, swój handel i przemysł, żeglarski żywot swych mieszkańców i poniekąd główne cechy ich charakteru.

Na krajobrazowy charakter Bretanii składają się nagie obszary granitowe i potężne dęby, różowiejące wrzosowiska, liczne strumyki, wijące się wśród dolin, zatęchłe bagna, ukryte wśród cienia, stare ruiny, oplecione bluszczem. Na wybrzeżach mórz, piaski, z kolei zalewane i wynurzające się z fal, czarne rumowiska kamyków, które fala porusza i cofa z szumem, podobnym do brzęku łańcuchów, samotne skały, opierające się falom, szalone burze, które z bezmiernego obszaru Atlantyku rzucają się z rykiem na strome i poszarpane wybrzeże Finistère. Często nad krajobrazem Bretanii zwisa niebo ciemne i nizkie, nadaje całej naturze fizyognomię smutku i rozpaczy. Przyroda kraju wywiera silny wpływ na umysł mieszkańców tak, iż zdala od ojczyzny umierają na nostalgię.

Mieszkańcy Bretanii są przeważnie Bretonami celtyckiego pochodzenia i języka. Oddalenie kraju, wsuniętego klinem w morze, od głównej masy drogami wodnemi, Sekwaną i Loarą; burzliwość i skalistość wybrzeży: wszystko to musiało wpłynąć na dłuższe utrzymanie się dawnych zwyczajów, religii i języka, niż w reszcie Francyi celtyckiej. Armoryka była zawsze krainą wyłącznie celtycką, gdzie druidyzm był najsilniej zakorzeniony. Językowy wpływ Rzymian był tu daleko słabszy niż w reszcie Francyi tak, iż w V stuleciu Celtowie bry-



Na swojską nutę.

tańscy, którzy, wyparci przez Anglo-Sasów, schronili się do Armoryki, zastali tu dość jeszcze pokrewnej im ludności. Dotąd jeszcze różnice cielesne, dające się napotykać między Bretonami, są prawdopodobnie wynikiem tego podwójnego pochodzenia tutejszych Celtów; na północy napotyka się wyższy, jasny, na południu — niższy, ciemny typ. Dotąd jeszcze pozostało u Bretończyków wiele zwyczajów pogańskich; dolmeny (grobowce kamienne) są czczone jako mogiły ludzi potężnych; dokoła nich odbywają się tańce. Bretończycy, jak ongi, czczą skały dziwaczanych kształtów i odbywają do nich pielgrzymki. Ażeby jednak zrozumieć, czem był tutaj niegdyś kult skał, trzeba zwiedzić okolice Morbihan lub Finistère, gdzie głazy, ułożone przez człowieka, gromadzą się najgęściej; badacz, stanąwszy wśród tych szczątków, zdaje się być przeniesionym w inny wiek ludzkości.

Przywiązanie do tradycyi sprawia, że Bretończycy niechętnie odstępują od dawnych wzorów budownictwa. Typ domu nowoczesnego oczywiście rozpowszechnia się, ale typ dawny, sięgający średniowiecza, wciąż się jeszcze utrzymuje. Domy takie są wznoszone z głazów granitowych, a kryte gliną i słomą. Po za drzwiami frontowemi znajduje się sień, spólna dla ludzi, bydła i drobiu. Z sieni na lewo, wchodzi się do obory, na prawo do izby mieszkalnej. W tej ostatniej zwraca uwagę przedewszystkiem wielce oryginalne łóżko, umieszczone przy ścianie naprzeciwko jedynego okna. Składa się ono z dwóch części, umieszczonych jedna nad drugą. W części niższej sypiają dzieci, w wyższej rodzice. We dnie łóżko jest zamknięte zasuwanemi drzwiami tak, że wygląda zupełnie jak wielka szafa. Sprzęt ten jest ozdobiony bogatemi rzeźbami w drzewie, przechodzi w spadku z pokolenia na pokolenie, a dosięga często wartości wielu tysięcy franków. Przed owym łóżkiem stoi skrzynia z poręczami, przypominająca nasze sofy niewyściełane, w której przechowują się zapasy mąki. Na tej skrzyni ustawiają kołyskę najmłodszego członka rodziny, a sznur, przeprowadzony od kołyski do łóżka wyższego, pozwala matce w nocy kołysać niemowlę.

Przy ścianie przeciwległej wejściu, stoi duży komin z długim przypieckiem, otoczony stołkami. Tu ogniskuje się, zwłaszcza podczas zimy, życie rodzinne; tu młodzi słuchają ciekawych opowieści starców i staruszek. W kominie, po nad ogniskiem, wisi kocieł żelazny do gotowania strawy; niżej stoi żelazny trójnóg. Przy kominie wisi nadto t. zw. „bekas“, kawał drzewa w kształcie piramidy spiczastej: jest to przyrząd do wyrabiania świec ze smoły drzewnej.

Rozglądając się po izbie, spostrzegamy krzemień i krzesiwo stalowe, gdyż wielu Bretończyków nie zarzuciło tego odwiecznego niecenia ognia. Inne sprzęty i naczynia gospodarskie ustawione są na policach, pod pułapem izby. Łyżki drewniane są przesunięte trzonkami przez otwory, wywiercone w policach. Pod oknem duży stół, na którym zawsze leży bochen chleba żytniego. Naprzeciwko komina stoją szafy, a pomiędzy niemi zegar wahadłowy.

Nietylko łóżko, lecz szafy, stółki i wszystkie zresztą sprzęty są ozdobione wcale piękną rzeźbą w drzewie. Motywem tych rzeźb są najczęściej zaloty młodzieńcze, ofiarowanie pannie młodej kołowrotka przed ślubem itp.

Miejscem honorowem w chacie bretońskiej jest skrzynia przed łóżkiem. Dodamy jeszcze, że w każdej chacie bretońskiej znajduje się potężna maczuga dębowa, okuta żelazem, zaopatrzona na końcu kulą żelazną. Jest to oręż, służący ku obronie.

„Dzieje Polski“.

— Na lato my radzi, kiej państwo przyjeżdżają, zwyczajnie, z miasta, uczeni, to pogwarzą z nami i człowiek sobie to pojmie. Ja, choć dziękować Bogu, 76 roków mam, ale zawsze jeszcze ciekawy jestem. Za moich czasów szkoły nie było, nauczyłem się w skrytości czytać, bo ojcowie tego nie byli ciekawi. I teraz, kiej przyjdzie chwila wolna, to czytam.

— Ta stancya do wynajęcia, tak jest. Po tamtej stronie syn, synowa i dzieci,. a ja sobie, jak to powiadają na „dożywociu“ u syna, w tej stancyi mieszkam. Na lato, to się do stodoły przygarnę, stancyę odnajmuję, a tak, aby było co na książki i na gazety.

— Pan się dziwują?... jak przyńdzie jesień, zima, jak tu człek w izdebce sam siędzie, przez książek strasznie markotno. Syn nie kupi, bo on na dzieciach nie „uszparuje“, zięć nie kupi, bo on nie ciekawy do tego, jako bywało, a ja sobie na te książki uskładać muszę.

— Jak się panu uwidzi ta stancya, to dobrze wyniosę się... widok piękny na las, sarny wychodzą pod wieczór, żyto się schyla, spokojnie u nas...



Chrystus uspokajający fale.

Wprowadza do izdebki. Stół biały pod oknem, a na nim duża książka oprawna: „Dzieje Polski“.

— Widzą pan? — staruszek, co na dożywociu, pyta mnie. — To piękna książka, jeno nie dopisana, bo tylko do tyla opowiadali, do kiela była Polska, a jak ją rozebrali, tak książkę skończyli. Pan uczony, niech powiedzą, czy tak być ma?

Białowłosy staruszek drżącą ręką podaje mi książkę i pyta jeszcze raz:

— Czy to dalej Polski i nas niema?

Jan Świerk.

Drobiazgi naukowe.

Niebezpieczeństwo elektryczności.

W dzisiejszych czasach, kiedy siła prądu elektrycznego posuwa w jednem mieście setki tramwajów, oświetla ulice i mieszkania, pędzi potężne maszyny, przenosi z dowolnych odległości fale dźwiękowe za pomocą telefonów i spełnia cały szereg najżywotniejszych funkcyi, koniecznem jest zapoznać się z niebezpieczeństwami prądu, od których każdy powinien umieć się w danym razie uchronić.

Siła mechaniczna, światło i ciepło — oto najważniejsze przejawy energii elektrycznej. Tym przejawom odpowiadają i skutki chorobliwe w razie, jeżeli organizm ludzki lub zwierzęcy ulegnie zbyt silnemu działaniu prądu. W mieszkaniach przeważna liczba nieszczęśliwych wypadków, wywołana jest dotknięciem nieprawidłowo odosobnionej lampki żarowej, albo drutu przewodowego; w fabrykach niebezpieczeństwo leży w dotknięciu metalowych części maszyn, biegunów, kabli itp. Przy tych zetknięciach pierwszorzędną rolę odgrywa sytuacya, w jakiej się dany osobnik znajduje. Jeżeli np. stoi na dywanie lub płycie szklanej, to chociaż prąd przenika jego ciało, ale nie znajdując ujścia, nie wywiera szkodliwego wpływu na organizm. Inaczej rzecz się ma, o ile nastąpi połączenie z ziemią, wtedy poważne porażenie, a często i śmierć jest nieunikniona.

Dla zobrazowania powyższych twierdzeń przytoczymy kilka wypadków charakterystycznych. Pewna pokojówka, kąpiąc się w metalowej wannie, dotknęła ręką postumentu lampy elektrycznej Drut, wiodący do lampy, nie był dostatecznie izolowany i prąd, przeszedłszy przez ciało dziewczyny, będące w zetknięciu z metalową wanną, połączył się za pomocą rury od wody ściekowej z ziemią i wywołał śmierć dziewczyny.

Mniej znane są wypadki, kiedy niektóre przedmioty metalowe *przypadkowo* się „naelektryzują“ i pociągają przez to nieszczęśliwe wypadki. Tak np. zdarzyło się w Szwajcaryi, że metalowe sztachety od ogrodu naelektryzowały się wskutek zetknięcia z przewodem elektrycznym podziemnym, który tamtędy przeprowadzono w celach oświetlenia. W innym wypadku uliczna skrzynka do listów stała się elektryczną od gwoździa, który swym końcem dotykał przewodu, przeprowadzonego w ścianie domu.

Jak widzimy, oprócz wypadków typowych, jak t. zw. „krótkie połączenie, bezpośrednie dotknięcie itd.“, zdarza się cały szereg mniej lub więcej przykrych niespodzianek, którym zapobiedz jest bardzo trudno. Ale w zasadzie należy wiedzieć, że prąd stały jest wogóle niebezpieczniejszy od zmiennego, co się zaś tyczy siły i napięcia prądu, to najważniejszym czynnikiem są chwilowe warunki, w których się dany osobnik znajduje. Tak np. delikatna i miękka skóra twarzy jest bez porównania wrażliwsza (posiada większy opór elektryczny), niż np. twarda skóra spracowanej dłoni lub na piętach. Niemniej ważną jest okoliczność, jakie organa zostaną przez prąd zaatakowane i w jakiej chwili: czy w chwili wdychania czy wypuszczania powietrza z płuc. Charakterystyczny bardzo jest czynnik psychiczny, gdyż w związku z nim znajduje się działalność serca. Nagłe przerażenie w chwili zetknięcia się z prądem utrudnia niepomiernie ratunek. Jeżeli zaś wskutek zabiegów lekarskich możliwe jest, chociaż mechanicznie, działalność serca przywrócić to mamy do czynienia ze znanym wypadkiem t. zw. „odżycia“, pomimo chwilowego porażenia.

Wreszcie od pewnego czasu zwrócono szczególną uwagę na działanie elektryczności atmosferycznej. Znana katastrofa z balonem Zeppelina pod Echterdingen została wywołana tylko przez działanie niezliczonych fal elektromagnetycznych, które, jeśli się tak wyrazić można, świat cały opasują, a podczas burzy ze szczególniejszą występują siłą.

Jak widzimy, pole do studyów w tej materyi jest równie wielkie, jak trudne. Jest to wspólna dziedzina medycyny i techniki, które, badając te zjawiska każdą metodą własną, nieocenione usługi jedna drugiej wyświadczać mogą.

Niesłowność.

Niedotrzymanie obietnicy, terminu wykonania roboty przez naszych rzemieślników, przemysłowców stało sią niemal przysłowiowem.

We wszystkich krajach kulturalnych, za wyjątkiem chyba naszego, ba! nawet na tak do niedawna lekceważonym „żółtym Wschodzie“ — za jeden z kardynalnych warunków powodzenia danego przedsiębiorstwa była i jest uważana punktualność przy sumienności i akuratności.

U nas, gdzie rozwój należyty rękodzieł i przemysłu stanowi jedną z najważniejszych dźwigni naszego bytu, niesłowność jest rzeczą zwykłą, stała się poprostu *nałogiem*, którego szkodliwość odczuwamy boleśnie, gdyż obcy wydzierają nam już nie bogactwo, ale nieraz chleb powszedni, mimo, że nie brak nam sił uzdolnionych i inteligencyi fachowej pomysłowości. Plony bujne, którebyśmy mogli zbierać z doskonałych ziaren, niszczy chwast niesumienności.

Aby wziąć robotę, obiecać dużo, zgodzić się na termin umówiony! a potem — niech martwi się ten, co zaufał.

I traci się zaufanie do naszych sił wytwórczych, i mimo haseł bojkotów obcych rękodzieł i przemysłu, jest się nieraz zmuszonym postępować wbrew hasłom i drogim sercu naszemu i mogącym być w swych skutkach bardzo owocnemi.

Marnują się zdolności, maleje bogactwo narodowe... przez nałóg niesłowności.

A dowodów, że nałóg ten stał się epidemicznym, nie brak. Nieliczne wyjątki nie mogą rzucić jaśniejszego światła na ciemnię, wytworzoną przez tę straszną wadę... *niesłowność!*

CZARY MIŁOSNE W JAPONII.

W Japonii, zarówno jak i w starej Europie, przechowuje się po dziś mnóstwo wierzeń i zabobonów. Liczne więc są i tam zabobony, osnute na tle miłości. Japonki, jak nasze dziewczęta wiejskie, wierzą w napój miłosny, w zaklęcia miłosne, które mają rzekomo pociągnąć ukochanego; wierzą też w możność wywarcia zemsty za przeniewierstwo miłosne za pomocą czarów. Zemsta dokonywa się w ten sposób: Zdradzona dziewczyna, o godzinie 2-ej po północy, gdyż tę godzinę poczytują w Japonii za godzinę czarów — udaje się do lasu, w to miejsce, gdzie przebywają duchy jej przodków. Ma na sobie białą szatę, włosy rozpuszczone, na głowie wieniec z trzema płonącemi świecami, nad pasem zaś małe zwierciadło. W ręku trzyma lalkę, wyobrażającą niewiernego kochanka. Przybywszy na miejsce, wzywa bogów, aby ukarali zdrajcę, a podczas zaklęcia przebija serce lalki gwoździem. Rezultat czarów będzie pomyślny, jeżeli przy lalce znajduje się promień włosów przeniewiercy lub skrawek jego odzieży. Czary mają sprawić to, że prędzej czy później, niewiernego kochanka spotka dotkliwy zawód serdeczny. Podobne zaklęcia istnieją u nas. Wspominają o nich klechdy, zebrane przez Woycickiego, Kolberga i innych etnografów.

Sztuka długiego życia.

Książki i artykuły na temat, jak życie przedłużać i dożyć późnej starości, zawsze mogą liczyć na poczytność. Bo człowiek choć narzeka na zmartwienia, choroby, złość ludzką, lubi życie.

I oto pierwsza zasada, czysto duchowa i przy pewnem wyćwiczeniu łatwa do wykonania: nie dawać się starości, nie myśleć o niej, starać się o to, by umysł i ciało czuły się rzeźkimi. Powtóre należy dbać o dobre trawienie, gdyż tworzy ono podstawę należytego obiegu krwi. Po trzecie, trzeba długo spać i w porę spać, to jest wcześnie się kłaść spać i wcześnie wstawać.

Zresztą doświadczenie uczy, że długowieczność jest w wielu rodzinach dziedziczną. Oto kilka bardzo zajmujących przykładów. W Anglii stanął przed sądem niejaki Jenkins, liczący 160 lat. Miał zeznawać przed sądem o sprawie, która zaszła przed 120 laty. Towarzyszyło mu dwoje jego „dzieci“; z tych jedno miało 104, a drugie 100 lat. W 1724 r. w pobliżu Temeszwaru na Węgrzech zmarł niejaki Piotr Czatten. Miał lat 185 i zostawil syna liczącego 95 lat. Tomasz Parr w Anglii, umierając w 1635 roku, miał 153 lat. Jedna z jego córek żyła 103 lat. Józef Surrington, który zmarł w 1796 r., liczył 160 lat. Miał syna, który wówczas liczył 103 lat, żonę młodą i z nią dziewięcioletniego syna. Zmarła w Finlandyi w r. 1592 wieśniaczka Marya Millanow dożyła 114 lat, 9 miesięcy; jej brat 108 lat; rodzeństwo po 80 do 100 lat. Żołnierz francuski Jan Thouret — mimo ran, odniesionych w bitwach — żył 104 lat; jego matka 118 lat; jeden z jego wujów 130 lat. W pewnej rodzinie żył pradziadek, liczący 96 lat i miał siedmiu synów żyjących, którzy razem mieli 600 lat.

Lecz należyta hygiena może i dzieciom rodzin krócej żyjących zabezpieczyć długą starość. Lekarz angielski, Herman Weber, jest synem rodziców, który zmarli młodo i pochodzili z rodzin nie żyjących długo. On sam ma już 86 lat i wygląda bardzo rzeźko dzięki wynalezionym przez siebie prawidłom życia hygienicznego.

Wogóle należy żyć umiarkowanie, prawidłowo, unikać nocnych niewywczasów, przejadania się mięsem. Podobno alkohol w drobnych ilościach nie szkodzi. Tego zdania był słynny chirurg Politiman w Kotaryngii, dożył 140 lat, mimo, że od 26 roku życia co wieczór upijał się aż do utraty przytomności.

Gdzie się podział Andrée?

Konsul swedzki w Montrealu doniósł niedawno rządowi swemu, że podczas konferencyi misyonarzy w Foronto (Kanada) krążyły pogłoski, jakoby Eskimosi, mieszkający mniej więcej o 1,200 kilometrów na północ od terytoryum Alcerty, ujrzeli przed laty „wielki biały dom“, opuszczający się z niebios na ziemię. W „domu“ tym, który nie mógł być czem innem, jak balonem, znajdowało się trzech białych ludzi. Niebawem po wylądoweniu, przybysze udali się na polowanie, przyczem popadli w zatarg z Eskimosami i byli przez nich zabici. Konsul szwedzki, dowiedziawszy się o pogłosce, postanowił wysłać na północ wyprawę, aby sprawdzić wieść sensacyjną.

Nie po raz pierwszy już nadchodzi wiadomość, że awanturniczy aeronauta dotarł do wybrzeży północnych Kanady, warto zatem przypomnieć i poprzednie pogłoski o losach szalonej wyprawy.

Jak wiadomo, Andrée z dwoma towarzyszami: Fränklem i Strindbergiem, puścili się balonem z wyspy duńskiej, w pobliżu Spitzberga, dnia 11-go lipca 1897 r. w celu dotarcia do bieguna północnego. Po dwu latach, w końcu 1899 r., otrzymano z Fort Churchill, gdzie znajduje się ajencya Towarzystwa handlu futrami „Hudson Bay Company“, na wybrzeżu zachodniem zatoki Hudsońskiej, wiadomość, że przybyli tam dla handlu zamiennego eskimosi opowiadali, jakoby członkowie ich plemienia spotkali ludzi białych, polujących na woły piżmowe. Eskimosi nie widzieli stada wołów, sądzili więc, że biali do nich strzelali, wobec czego odpowiedzieli także strzałami, przyczem zabili dwu białych, dwu zaś innych uciekło. Jeżeli wszakże zważymy, że wyprawa Andréego składała się z trzech ludzi, to należałoby wnioskować, iż opowiadanie Eskimosów nie ma z wyprawą tą nic wspólnego, lecz z drugiej strony nie należy również zapominać, jak pogłoski wszelkie zmieniają kształty w miarę przechodzenia z ust do ust i odległości.

Znów upłynęły dwa lata. W 1601 r. dwu turystów amerykańskich przyniosło wiadomość, słyszaną od Eskimosów, mieszkających w okolicach zatoki Hudsońskiej, jakoby na wiosnę roku poprzedniego, a więc 1900, znaleziono o 900 mil ang. na północ od Moose Flang zwłoki dwu białych ludzi i kosz balonowy, a w marcu 1902 r. dotarła powtórnie do Fort Churchill wiadomość, jakoby Eskimosi, należący do dzikiego szczepu, zabili z łuków tym razem trzech ludzi białych, którzy przybyli do nich „wielkim kajakiem napowietrznym“.

Wszystkie wiadomości powyższe zdawałyby się stwierdzać, że wyprawa Andréego zginęła z ręki Eskimosów, dotarłszy w okolice zatoki Hudsońskiej. Aliści w listopadzie 1908 r. otrzymano z St. Johns, na wyspie New Foundland, wiadomość całkiem inną. Mianowicie kapitan okrętu amerykańskiego „Polops“ doniósł wówczas, że o sto kilometrów od stacyi misyjnej Okkak, w Labradorze odkrył grób z krzyżem, na którym wyrżnięte było nazwisko „Andrée“, a w grobie zwłoki ludzki i skrzynkę z papierami. Przedsięwzięte z tego powodu przez rząd szwedzki poszukiwania nie wydały dotychczas wyniku pożądanego, pogłoskę więc należy przyjąć z niedowierzaniem.

Zresztą w sprzeczności zupełnej z opowiadaniami powyższemi stoją poglądy geografów.

Posiadamy następujące dane pewne o losie balonu Andréego:

Liny zawieszone u kosza balonowego i wlokące się za nim, miały służyć do pewnego stopnia za ster, ponieważ jednak wkrótce po opuszczeniu wyspy Duńskiej Andrée liny te pogubił, albo też był zmuszony wyrzucić, balon więc jego stał się igraszką wiatrów, dmących nie w kierunku północnym lecz wschodnim, tj. ku wybrzeżom Syberyi północnej. Potwierdza to kartka, znaleziona przy zastrzelonym w 5 dni po wyruszeniu wyprawy gołębiu, wypuszczonym przez Andréego. Kartka ta opiewała, że w południe 13 lipca balon znajdował się pod 82° szerokości północnej i 15°5 długości wschodniej, oraz, że podąża chyżo ku wschodowi. Znalezione później w morzu boje, zawierające również notatki Andréego, były jak się oka-

zało, wyrzucone z kosza balonowego przed wypuszczeniem jeszcze gołębia; boje zaś, wyławiane następnie od czasu do czasu z morza w ciągu całego roku, nic już nie zawierały, co dowodzi, że Andrée musiał wyrzucać je dla ulżenia balonowi, nie mając czasu na umieszczanie w nich notatek.

Co do dalszego losu balonu, to stwierdzono, że od d. 11 do 15-go lipca 1897 r. panowały na wodach Szpicberga zamiecie śnieżne, które musiały już po wypuszczeniu gołębia, rzucić balon w kierunku zachodnim, przez co mógł dotrzeć aż do wybrzeży północnych Grenlandyi, następnie jednak, skutkiem zmiany wiatru, poleciał zapewne znów ku wschodowi. Zbierający się przytem na powierzchni powłoki balonowej śnieg wilgotny, tudzież utrata gazu, musiały w końcu doprowadzić balon do utonięcia w morzu. Przypuszczalnie więc śmiali żeglarze, albo zginęli w morzu pomiędzy Szpicbergiem a Ziemią Franciszka Józefa, albo też dostawszy się na tę Ziemię, zmarli tam z głodu i zimna.

Taki jest pogląd, przyjęty przez geografów szwedzkich. Jest on jednak, zdaje się, dość sztucznie zbudowany, opiera się bowiem na przypuszczalnej wędrówce balonu tam i z powrotem nad oceanem Lodowatym, równie więc dobrze przypuszczać można, że wiatr zachodni pchnął śmiałych podróżników ponad Grenlandyą, aż do Labradoru albo i dalej. Rząd szwedzki zatem powinienby poddać zbadaniu gruntownemu pogłoski, krążące tak uporczywie śród eskimosów Ameryki arktycznej o smutnym końcu Andréego i dwu jego towarzyszów.

TO I OWO.

Biegun północny... na scenie.

Onego czasu wielki poeta niemiecki Goethe bardzo się oburzał na to, iż w pewnej sztuce na scenie ukazał się... pies. Cóżby nieboszczyk Goethe powiedział był, gdyby usłyszał o takiem przedstawieniu, jakie odbyło się z okazyi ostatnich świąt Bożego Narodzenia w pewnym hipodromie londyńskim...

To sensacyjno-nowoczesne widowisko miało tytuł: „Biegun północny".

Były tam, obok mnóstwa mniejszych, dwie główne sensacye: śnieżno-lodowy krajobraz polarny, z olbrzymiemi, fantastycznie spiętrzonemi turniami lodowców i... plastycznem wyobrażeniem punktu biegunowego, oraz 70 (wyraźnie: siedemdziesiąt!) oryginalnych, niesfałszowanych, żywych białych niedźwiedzi polarnych, które specyalnie do celów widowiska sprowadzono z mozołem i wielkim nakładem kosztów, w ogromnych klatkach z okolic podbiegunowych!...

Te, niemniej dzikie, jak olbrzymie, śnieżystobiałe kudłacze imponującym tłumem zaroiły się wśród lodowych turnic, nurzając się obficie i z satysfakcyą w wielkich basenach wody, imitujących zatoki morskie i jeziora polarne, to kłębiąc się po śnieżnych płaszczyznach, rycząc i podskakując dziko, oraz wykonując groźne ataki na kilku „artystów", przebranych za „podróżników i badaczy biegunowych"...

Widok to był zaiste dla londyńskich tłumów niebywały, prawdziwie sensacyjny! Widzowie nagromadzeni w ogromnej ilości, stali z zapartym oddechem i poprostu pochłaniali wzrokiem te „produkcye artystyczne".

Z pomiędzy „badaczy i odkrywców biegunowych" najbardziej podobno oklaskiwany był „dr. Cook", który grał rolę „polarnego Augusta"...

Wobec niezwykłego powodzenia widowiska powtórzono je zaraz na drugi dzień, a wreszcie postanowiono dawać je codzień.

Powodzenie dotąd olbrzymie i zuchwali przedsiębiorcy tego polarnego interesu gromadzą nadzwyczaj grube kapitały...

Gdy białe niedźwiedzie polarne zmęczą się już temi produkcyami, oddane zostaną wspaniałomyślnie do londyńskiego parkn zoologicznego.

Ryba z nogami.

Podróżnik Dr. John Hasenzan opisując swoje podróże w południowej Ameryce, opowiada, że odkrył gatunek ryb z nogami; jest to pośredni gatunek pomiędzy rybą a salamandrą. Gatunek ten był znany w zamierzchłych wiekach, lecz z czasem przeistoczył się w ryby posiadające pletwy zamiast nóg. Ryby te mają znajdować się w rzece niedaleko Manos w Brazylii.

Skrzynka Redakcyi.

— **WPan Wł. M.** w B. Czekamy szczegółowych informacyi.

— **WP. Adam Gr.** w Z. Pieniądze na dar Grunwaldzki prosimy odesłać albo do „Słowa Polskiego" albo do T. S. L. wprost.

— **WP. Janina P.** w Woł. Odpisujemy obszernie listownie.

— **WP. St. Cz.** Żądane broszury wysłaliśmy.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Żebrak ruszał ramionami i trząsł głową.

— Człowiecze — rzekł — jeżeliś mnie poznał, po co pytasz a kusisz?.. jeśli mnie nie znasz, na co ci imię moje? A może ja idę z ordynansem Bożym nie za sprawę własną?.. ze słowem z nieba i nie wolno mi co innego rzec tylko to z czem mnie posłano? ani znać innego człowieka, prócz tego do którego idę?

Wszak widzisz łachmany żebraka, znać jestem dziś nędzarzem i wędrowcem, nic więcej. A czem byłem to Bóg wie, który czyni małemi narzędziami sprawy wielkie i kruszy ludzkie potęgi w proch, a bohaterów w kał przemienia, ze świętych czyni zgorszenie, a z najpodlejszych zbudowanie. Dlaczego porzuciłeś modlitwę i wstałeś i przyszedłeś kusić i badać człowieka, jakbyś był tym, co go ma wydać wrogom?

— O! gorzkież słowa wasze! — zawołał korząc się pułkownik — ale od was przyjmę w pokorze. Winienem. Przecierz grzech mój zrodziła miłość i cześć, a przebaczony mi być może.

Żebrak popatrzył ku słońcu zachodzącemu.

— Idźcie — rzekł — a gotujcie się w drogę, albowiem godzina uderzy wkrótce. A któż wie, czy nie w jedną idziemy wszyscy?

— Więc i wy... do Częstochowy? — szepnął pułkownik.

— Co to.. wy? — odparł surowo żebrak — co wy? Ażali wie kto com ja jest? żebrak i sługa Boży. Kto widzi miejsce święte i nie dąży do niego, jakby minął źródło czyste w upał i nie zaczerpnął.

Pułkownik stał jeszcze... wzruszony... wreszcie gdy ten odwróciwszy się zamilkł; poszedł do chaty i nakazał sposobić się do drogi.

Przystęp do twierdzy, mimo, że moskiewskie siły opodal nieco jej były odsunęły się — w kilku szturmach odparte; nie zawsze był łatwym. Nieprzyjaciel bacznie śledził okolicę i wpaść było można w ręce Moskwy, a kogokolwiek posądzono o szpiegostwo lub poselstwo od kraju do konfederatów, nielitościwie karany był śmiercią na szubienicy bez sądu.

Musiała więc garść owa niedobitków o mroku szarym do twierdzy się podkradać, z której właśnie

Pułaski wysunął się z oddziałem, zostawiając na swem miejscu Radzimińskiego.

Leśniczy, który znał dobrze okolicę i wszystkie wnijścia twierdzy i drożyny bezpieczne, miał poprowadzić konfederatów. Już się był wybrał, wdziawszy torbę borsuczą i kij ująwszy, gdy na progu ukazał się Skiba, a żebrak, który siedział posępny, rzekł mu.

— Nie bierzcie żadnych przewodników, wola nas Boża sama wieść będzie. Ja pójdę i zajdę, bo tam dziś jeszcze muszę być, wy za mną.

Po niebie się rozglądnąwszy rzekł. — A zatem w drogę w imię Ojca i Syna...

Skiba ze wszystkiemi swemi co było w chacie wyszli smutni i milczący, dosiedli koni. Żebrak już przodem szedł drogą, popatrzał, a gdy wszystko zobaczył gotowem, przeżegnał i ująwszy kij w milczeniu ale raźno iść zaczął.

Noc nadciągała szybko, drogi po pagórkach krzyżowały się gęste, przecież nie zawahał się przewodnik, szedł śmiało, krokiem pewnym, jak gdyby go gwiazda wiodła. Niosła go taka siła, iż konie wyciągnioną stępią ledwie za nim podążyć mogły, nikt słowa rzec nie śmiał. Za żebrakiem tuż jechał sam pułkownik, obawiając się znać, aby kto z ludzi nie obarczał starca pytaniami, dalej Karol, Samocha i reszta żołnierza.

Na pagórek wyszedłszy, gdy już czarna noc się stała, a w przepaścistych głębiach niebios gwiazdy tylko świeciły, przodem na drodze dał się słyszeć tętent jazdy.

Skiba jako żołnierz, poznał, że szedł oddział znaczny z kilkuset koni złożony, spiesznym krokiem w kierunku twierdzy. Obawiając się by to nie była nieprzyjacielska kolumna, Skiba przystanął, milczący nasłuchując.

Poczuwszy to żebrak, wstrzymał się także, sparł na kiju i twarzą ku niemu odwrócił. Pułkownik pytać go jednak nie śmiał.

— Człowiecze stary, którego Bóg tysiąc razy od śmierci ocalił — odezwał się przewodnik — pytam cię dla czegoś małego serca i wiary? Oto czytam jak w książce w myśli twej, iż ci tam tętni nieprzyjaciel, a szczęk i wrzawa, którą ty słyszysz i ja słyszę, znana mi jest i wiadoma. Ten to powraca, do któregom jest posłany, wraca posłuszny rozkazom, krok w krok za nim i my do twierdzy podążym...

Rzekł i począł iść żywo. Skiba z głową spuszczoną jechał posłuszny.

— Kto jest ten dziwny człowiek? — spytał po cichu Karol dosłyszawszy jego mowy.

— Dowiesz się później — odparł cicho pułkownik — nie pora pytać i nie wolno tłumaczyć, jedźmy, są rzeczy niezbadane i cudowne, nawet tam, gdzie Bóg twarz swą odwracać się zdaje.

Wciąż tedy poprzedzani tętnem koni niewidzialnego oddziału, który szedł przed nimi; zbliżali się ku Jasnej Górze.

Wysoka wieża i mury twierdzy coraz wyraźniej, olbrzymiejąc malowały się na niebie. Na wieży w szczycie błyskało światełko jakby gwiazda nad koroną Matki Boskiej, drugie jaśniało na ścianie kaplicy, zresztą mury były czarne i puste. U podnóża ich miasteczko opuszczone, domy porozwalane, kominy sterczące na pogorzeliskach, ziemia poryta kulami, poprzerywana rowami, wygasłe ogniska, stosy gruzów i popiołów, pokryte nocą stanowiły obraz straszliwego smutku i majestatu zarazem. — Czuć było, że o tę opokę obiły się szturmy wściekłe, że ta ziemia przesiąkła była krwią ludzką i poryta grobami.

Pomimo trudności pochodu, które z każdą chwilą się pomnażały, przewodnik szedł coraz żywiej, coraz bardziej zdając się rozgorączkowany i gnany pospiechem niewysłowionym. Ten szał z jakim pędził, dawał mu jasnowidzenie dziwne drogi, którą wpośród gruzów i zawad wynajdywał instynktowno, na chwilę się nie wstrzymując w biegu.

Tylko co za ostatnim jeźdźcem orszaku, który ich poprzedzał, miały się zamykać wrota twierdzy, gdy u nich stanął żebrak i wychyliwszy się w podwórzec, na którym właśnie oddział konnicy z siodła się zbierał, otoczony ciekawą załogą, — zawołał głosem wielkim, który echem rozległ się wśród pustych murów i ciszy:

— Kazimierzu, w imię Boga wszechmogącego staw się do mnie!

Po tym głosie milczenie było grobowe, wszystkich dreszcz jakiś przeszedł usłyszawszy te słowa; aż z głębi podwórca wybiegł mężczyzna średniego wzrostu, w sile wieku, zbudowany krzepko, w ubiorze wojskowej starszyzny, z huzarska obmalowanym suto srebrnemi galonami.

Poznać było wodza po rozkazującem obliczu.

Latarnia w bramie stojąca rzucała nań pas światła.

Twarz była nacechowana wyrazem energii, surowa, ale pociągająca urokiem natchnienia i zapału.

Rysy jej na pierwszy rzut oka zdawały się pospolitemi — ale tyle życia tryskało z oczów ruchomych, z warg koralowych nieco dumnie odętych, z fałdów czoła — iż każdy w nim czuł człowieka wybranego do sterowania i przykładu.

Jak obłąkany biegł dowódzca wołając:

— Czyj to głos? kto mnie woła?

A postrzegłszy żebraka stojącego w bramie — na pierwszy rzut oka jakby oczom nie wierząc się cofnął: potem podniósł ręce i chciał poklęknąć, ale groźny ruch starca wzbronił mu tego. Oniemiały stał.

— Jestem żebrak.. ubogi... ale ubogiego Bóg śle. Oto zemną żołnierzy garść, niedobitków, szukających przytułku, rozkażcie ich przyjąć.

Pułaski, gdyż on to był tylko co z konia zsiadł — stał jeszcze zdumiały; a starzec już szedł, modląc się głośno z głową odkrytą.

— Do matki Boskiej... królowej nieba i ziemi.. do kaplicy! do stóp jej.. prowadź żebraka.

Kilku słowami szybko rzuconemi rozporządziwszy, aby przybytych przyjęto i pomieszczono, Pułaski rzucił wszystko i widocznie wzruszony głęboko prowadził starca, który odmawiał:

Sub tuum praesidium...

Tak weszli z modlitwą w krużganki, a choć pułkownik był tu w znajomym sobie dobrze miejscu, jego zdawał się wieść żebrak... natchniony.

Na drodze spotkali dwóch księży Paulinów, którym słowo tylko szepnął Pułaski. Znalazł się kapłan zaraz i dwóch braciszków niosących świece, z któremi razem żebrak z widoczną niecierpliwością wzrastającą biegł niemal ku kościołowi.

A gdy weszli naprzód do pustej szerokiej świątyni, przykląkł tylko przed jej ołtarzem.. i wyciągnąwszy ręce szedł do kaplicy Matki Boskiej.

Cicho tu było i pusto, ale lampy gorzały wśród hebanowych cieniów tego przybytku.

Z mroków nocy w połysku bladym gdzieniegdzie widniały vota srebrne, zbladłe lica starych wizerunków i kosztowne na ścianach ofiary. Obraz był zasłoniony, jak zwykle, nikt jeszcze nie zdążył go odkryć, a z podziwieniem księży, gdy żebrak wszedłszy, rzucił się przed nim na kolana, a potem krzyżem na ziemię... podniósłszy oczy, ujrzeli oblicze cudotworne odsłonięte... korony obrazu i szaty złociste świeciły tysiącem iskier, jakby godowo przybrane.

Za żebrakiem padł na kolana Pułaski i przybyli w ich ślady pędzeni pobożnością i jakimś uczuciem niepokoju Skiba i Karol.

Ta garść pobożnych wśród nocy modląca się ze łkaniem prawie i jęk dobywający się z piersi żebraka, który bił się oburącz a płakał i wołał miłosierdzia... do łez pobudziły nawet dwóch zdumionych zrazu tylko braciszków.

Przybyły to rzucał się krzyżem i płakał, to podnosił ręce wyciągając do obrazu, a znać było, że litości nie dla siebie błagał.

Długa chwila minęła na modlitwie, pełnej skarg i błagań. Wszyscy czekali, ażeby starzec powstał, on jeszcze modlił się, ale jakby promieniem z nieba uspokojony nieco. Nareszcie podniósł blade lice, zlane łzami, drgające bólem przecierpianym — uderzył czołem o posadzkę, ręką w piersi, która jęknęła i powstał. W milczeniu ujął rękę Pułaskiego, szli razem.

Gdy w korytarzu stanęli, skinął tylko.

— Do waszej celi — rzekł — a nie będzie świadkiem między nami, tylko ten Bóg, który mnie do ciebie posłał.

Jakkolwiek nadzwyczajną starzec obudzał we wszystkich ciekawość, znać rozkaz jego był dla Kazimierza świętym, gdyż odprawiwszy gości i poleciwszy ich księżom, sam poprowadził go do jeneralskiej celi, którą zajmował.

Obszerniejsza od innych, z dwóch złożona izb sklepionych, była wszakże prostą i prawie ubogą.

Trocha wytworniejszej broni i książek na stole, chorągwie, bębny i rycerskie sprzęty część jej zajmowały.

Łóżko zakonne, skórą okryte stało pod krucyfiksem, od dawna nietykane.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Pułaski dłużej wytrwać nie mogąc, jak stał tak pokląkł przed starcem i ręce wyciągnął ku niemu.

— Ojcze mój — zawołał — co mi przynosisz? pozwól niech ucałuję dłonie twoje.

— Ani klękać przed człowiekiem, ani się czcić godzi grzeszną istotę... — surowo odparł starzec. — Człowiek to kielich gliniany, w który Bóg czasem nalewa napój żywota, ale gdy się wypróżni, jest kawałkiem gliny. I jam taki. Posyła mnie Bóg, mówi do ducha mego, sługą jestem Pańskim.

Teraz — dodał — przybyłem do ciebie Kazimierzu, boś ty jeden pozostał czysty z tego hufca pobłogosławionych, którzy krzyż Pański na krzyże bałwochwalcze zamienili i w błocie się potarzali.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Nie wiem o co pytasz panie — odparła — nie mogę ci więc odpowiedzieć.

— Ej! do pioruna! obywatelko Kapet — zawołał zniecierpliwiony Santerre — mówię jednak zbyt jasno. Powiadam, że usiłowano wczoraj ułatwić wam ucieczkę, i że powinneście znać winowajców.

— Nie mamy żadnych stosunków na zewnątrz mój panie; a tem samem nie możemy wiedzieć co dla nas, ani też co przeciw nam czynią.

— Dobrze — odezwał się urzędnik — obaczymy, co powie twój bratanek.

To mówiąc, zbliżył się do łóżka młodego Delfina.

Na tę groźbę Marya-Antonina natychmiast podniosła się.

— Panie — rzekła — mój syn chory, śpi... nie budź go.

— Odpowiadaj więc sama.

— Ja o niczem nie wiem.

Urzędnik poszedł wprost do łóżka młodego więźnia, który, jak powiedzieliśmy, udawał, że śpi.

— No! obudź się Kapecie! — zawołał, mocno nim wstrząsając.

Dziecię otworzyło oczy i uśmiechnęło się.

Wówczas urzędnicy otoczyli jego łóżko.

Królowa miotana boleścią i obawą, dała znak córce, która korzystając ze sposobności, wsunęła się do sąsiedniego pokoju, otworzyła piec i wyjęła z niego kartkę a spaliwszy ją, natychmiast wróciła do pierwszej izby, rzucając na matkę zaspokajające spojrzenie.

— Czegoż panowie żądacie? — spytało dziecię.

— Chcemy się dowiedzieć, czyś nie słyszał czego tej nocy.

— Nie, ja spałem.

— Jak się zdaje, bardzo lubisz sypiać.

— Tak jest, bo kiedy śpię, to marzę.

— A o czem marzysz?

— Zdaje mi się, że widzę we śnie ojca, któregoście mi zamordowali.

— A więc nic nie słyszałeś? — porywczo rzekł Santerre.

— Nic.

— Te wilczki są doprawdy w zmowie z wilczycą — powiedział wściekły urzędnik — a jednak spisek miał miejsce.

Królowa uśmiechnęła się.

— O! ho! Austryaczka szydzi z nas — wrzasnął urzędnik. — A więc kiedy tak, wykonajmy rozkaz gminy w całej jego surowości. Wstawaj, Kapecie!

— Co chcecie czynić? — zawołała królowa, zapominając się. — Nie widzicież, że syn mój chory, że ma gorączkę? Pragniecież więc jego śmierci?

— Twój syn — odpowiedział urzędnik — jest powodem ciągłej trwogi, jaka przejmuje radę w Temple. On to jest celem wszystkich spisków. Pochlebiają sobie, że was wykradną. Dobrze! niech wykradają. Tison.. Zawołajcie Tison'a.

Tison był to rodzaj najemnika, trudniącego się gospodarstwem w więzieniu.

Przybył.

Człowiek ten miał około lat czterdziestu, cery ogorzałej, twarzy nikczemnej i dzikiej, włosów czarnych, kędzierzawych aż po brwi spadających.

— Tison — rzekł Santerre — kto wczoraj przynosił żywność więźniom?

Tison wymienił jakieś nazwisko.

— A bieliznę?

— Moja córka.

— Twoja córka jest więc praczką?

— Tak jest.

— I pozwoliłeś jej opierać więźniów?

— Dla czegożby nie? lepiej, że onac oś zarobi aniżeli kto inny. Wszak zyskuje pieniądze narodu, nie zaś pieniądze tych kobiet, bo naród płaci za nie.

— Powiedziano ci, abyś pilnie przeglądał bieliznę.

— I cóż! alboż nie spełniam należycie moich obowiązków? dowodem tego jest znaleziona wczoraj chustka z dwoma węzłami, którą zaraz odniosłem radzie, a z jej rozkazu żona moja rozwiązała ją, odprasowała i nic nie mówiąc, oddała pani Kapet.

Na wzmiankę o dwóch węzłach na chustce, królowa zadrżała, źrenice jej rozszerzyły się, porozumiała się spojrzeniem z księżną Elźbietą.

— Tison — powiedział Santerre — o patryotyzmie twojej córki nikt nie wątpi, ale od dnia dzisiejszego niechaj w Temple ani nogą nie postanie.

— O! mój Boże — zawołał przerażony Tison — cóż mi to mówicie? Jakto! nie obaczę mej córki, aż stąd wyjdę.

— I tobie odtąd wychodzić nie wolno — rzekł Santerre.

Tison spojrzał w około nie zatrzymując na żadnym przedmiocie błędnego wzroku swego i nagle krzyknął:

— Nie wolno mi wychodzić! Ah! kiedy tak? to wyjdę raz na zawsze! Podaję się do dymisyi; nie jestem ani zdrajcą, ani arystokratą, aby mię miano więzić. Powiadam wam, że chcę wyjść stąd.

— Obywatelu — rzekł Santerre — słuchaj rozkazów gminy i milcz albo możesz tego pożałować. Zostań tu i bacz na to, co się tu dzieje. Uprzedzam cię, że mają na ciebie oko.

Tymczasem królowa sądząc, że zapomniano o niej, przyszła nieco do siebie i znowu syna do łóżka położyła.

— Zawołaj tu twoją żonę — powiedział urzędnik do Tison'a.

— Ten usłuchał nic nie mówiąc. Pogróżki Santerr'a przemieniły go znowu w łagodnego baranka.

Żona Tison'a przybyła.

— Zbliż się obywatelko — rzekł Santerre — wyjdziemy do przedpokoju, a ty tymczasem zrewiduj uwięzione.

— Słuchaj no żono — odezwał się Tison — oni nie chcą już wpuszczać naszej córki do Temple.

— Jak? co? nie chcą wpuszczać mojej córki? To więc my jej już widywać nie będziemy?

Tison zwiesił głowę.

— I cóż ty na to?

— Ja?... oto zrobimy raport do rady w Temple, a rada zadecyduje. Tymczasem zaś...

— Tymczasem — dodała żona — będę się widywać z moją córką.

— Milcz! — zawołał Santerre — zawołano cię tu po to, abyś zrewidowała uwięzione; czyń więc, co ci każą, a potem obaczymy...

— Ale... tymczasem...

— Ho! ho! — mruknął Santerre, marszcząc brwi — tu się coś psuje, jak uważam.

— Czyń, co każe obywatel jenerał, czyń, żono; a potem słyszałaś, że mówił, obaczymy.

I Tison z pokornym uśmiechem spojrzał na Santerra.

— Dobrze — odpowiedziała jego żona — wyjdźcie a ja przystąpię do rewizyi.

I mężczyźni wyszli.

— Moja kochana pani Tison — powiedziała królowa — chciej wierzyć...

— Ja niczemu nie wierzę, obywatelko Kapet — odparła straszna ta kobieta, zgrzytając zębami — tylko temu, że ty jesteś przyczyną wszelkich nieszczęść narodu. Niech no znajdę przy tobie coś podejrzanego, a obaczysz.

Czterech ludzi zostało przy drzwiach, gotowi siłą dopomódz żonie Tison'a w razie, gdyby królowa stawiała opór.

Zaczęto od królowej i znaleziono przy niej chustkę z trzema węzłami, która na nieszczęście zdawała się być odpowiedzią przygotowaną na chustkę o jakiej wspomniał Tison, znaleziono także ołówek szkaplerz i lak.

— Ah! ha! spodziewałam się tego — powiedziała żona Tison'a — miałam słuszność, donosząc urzędnikom, że Austryaczka koresponduje! przed kilku dniami znalazłam kroplę laku na lichtarzu.

— O! pani — błagalnie rzekła królowa — pokaż mi tylko szkaplerz...

— Ale, właśnie! — przerwała żona Tison'a — jabym miała litować się nad tobą... a dla mnie czy mają litość?... wszak mię pozbawiają córki.

Księżna Elźbieta i królewska córka nic przy sobie nie miały.

Żona Tisona przywołała urzędników, a gdy wrócili z Santerr'em na czele, oddała im przedmioty znalezione przy królowej, a te przechodząc z rąk do rąk stały się powodem tysiąca przypuszczeń; mianowicie chustka z trzema węzłami długo doświadczała szczytności pomysłów tych prześladowców królewskiego pokolenia.

— A teraz — przemówił Santerre — odczytami ci rozkaz Konwecyi.

— Jaki rozkaz? — spytała królowa.

— Rozkaz polecający rozłączyć cię z synem.

— Rozkaz więc taki istnieje na prawdę?

— Tak jest. Konwencya zbyt się troszczy o zdrowie dziecka, które naród poruczył jej opiece i dla tego nie zostawi go w towarzystwie tak zepsutej matki...

Z oczu królowej trysnęły błyskawice.

— O! tygrysy! ależ przynajmniej uformujcie akt oskarżenia.

— Do licha! nic łatwiejszego — odezwał się jeden z urzędników — oto jest...

I wyrzekł jedno z owych niegodziwych oskarżeń.

— O! — zawołała królowa, blada i pyszna swem oburzeniem — odwołuję się w tem do serca wszystkich matek.

— No! no! — rzekł urzędnik — wszystko to bardzo dobre i ładne, ale my tu już dwie godziny bawimy, a całego dnia napróżno tracić nie można; wstawaj Kapet i pójdź z nami.

— Nigdy! przenigdy! — zawołała królowa, rzucając się między urzędników a młodego Ludwika, gotowa bronić przystępu do łóżka, jak tygrysica gniazda — nigdy nie dopuszczę, abyście mi dziecię porwać mieli!

— O! panowie — mówiła księżna Elżbieta, załamując dłonie z cudownym wyrazem modlitwy — panowie, na imię nieba, zlitujcie się nad dwiema matkami.

— Mówcie — rzekł Santerre — wymieńcie nazwiska, objawcie zamiar waszych wspólników, wytłómaczcie znaczenie tych węzłów na chustce, przyniesionej pomiędzy bielizną przez córkę Tison'a i na chustce znalezionej przy tobie Antonino, a wtedy zostawimy ci twego syna.

Księżna Elżbieta zdawała się spojrzeniem błagać królowę, aby uczyniła tę okrutną ofiarę.

Lecz ta dumnie ocierając łzę, co jak brylant świeciła w kącie jej źrenicy, rzekła:

— Bądź zdrów mój synu. Nie zapominaj nigdy ojca twego, który przebywa w niebie, nie zapominaj matki, która się z nim wkrótce połączy; powtarzaj co rano i wieczor modlitwę, której cię nauczyłam. Bądź zdrów mój synu!

I pocałowała go po raz ostatni, a wstając zimna i nieugięta, rzekła:

— O niczem nie wiem moi panowie, czyńcie co się wam podoba.

Atoli ta monarchini więcej potrzebowała siły aniżeli jej zawrzeć w sobie mogło serce kobiety, a nadewszystko serce matki. Padła na krzesło, a tymczasem unoszono dziecię, które jakkolwiek łzami zalane, wyciągało ku niej swe rączki, żadnego nie wydało okrzyku.

Zamknęły się drzwi za urzędnikami unoszącymi królewskie dziecię, a trzy niewiasty znowu pozostały same.

Przez chwilę panowało rozpaczliwe milczenie jedynie łkaniami przerywane.

Królowa pierwsza je przerwała.

— Moja córko — rzekła — a owa kartka?

— Spaliłam ją według twego żądania, matko.

— Nie przeczytawszy?

— Tak jest, nie przeczytawszy.

— Żegnam cię więc ostatni promyku najwyższej nadziei — szepnęła księżna Elźbieta.

— O! słusznie mówisz, słusznie, siostro moja, przebrała się już miara cierpień naszych.

A obracając się do córki, dodała:

— Lecz może poznałaś czyj tam był charakter, Maryo?

— Tak jest, matko, tak sądzę.

Królowa wstała, poszła do drzwi dla przekonania się, czy nie dają baczności na nią, i wyjąwszy szpilkę z włosów, przystąpiła do ściany i z kryjówki wydobyła mały papierek złożony w kształcie biletu i pokazując go córce, rzekła:

— Zbież całą twą pamięć nim mi odpowiesz, córko moja; czy charakter był ten sam co i tu?

— Tak jest, matko — odpowiedziała księżniczka — tak, poznaję go.

— Chwała ci Panie! — zawołała królowa z żarliwością, padając na kolana. — Jeżeli dziś mógł pisać, to znak, że ocalony. Dzięki ci Boże! dzięki! tak szlachetny przyjaciel godzien zaprawdę, abyś cud Twój na nim spełnił.

— O kimże to mówisz matko? — spytała królewska córka. — Któż jest ten przyjaciel? wyjaw mi jego nazwisko, niech w modlitwach moich wstawię się za nim do Boga.

— Tak jest, słuszne twe żądanie córko moja; nie zapominaj nigdy tego imienia, jest to bowiem imię człowieka, pełnego honoru i męztwa: oh! człowieka tego nie ambicya do nas przywiązuje, bo go nam przyniosły dni nieszczęścia. Nigdy on nie widział królowej francuskiej, a raczej królowa francuska nigdy jego nie widziała, a jednak poświęca życie swoje w jej obronie. Może w nagrodę, według dzisiejszego wynagradzania każdej cnoty, okrutną śmierć poniesie... lecz... jeżeli zginie... o! tam, tam wysoko! podziękuję mu za to.. Nazywa się on...

Królowa z niespokojnością w około siebie spojrzała i zniżając głos, rzekła:

— Nazywa się kawaler de Maison-Rouge... Módl się za niego.

VII.

Przysięga gracza.

Jakkolwiek zamiar wykradzenia był wątpliwym, ponieważ ani w części się nie spełnił, mimo to jednak wzbudził gniew w jednych, a mocny interes w drugich.

Wypadek ten prawie materyalnie rzeczywisty, stwierdziła odebrana w komitecie publicznego bezpieczeństwa wiadomość o wejściu do Francyi przed trzema tygodniamy lub miesiącem, mnóstwa emigrantów, a to przez rozmaite punkta na granicy.

Widoczną zatem było rzeczą, że ludzie w ten sposób narażający własne głowy, nie czynili tego bez pewnego zamiaru, a według wszelkiego prawdopodobieństwa zamiarem tym była chęć wykradzenia królewskiej rodziny.

Na wniosek konwencyonisty Osselin'a ogłoszono straszny dekret, skazujący na śmierć każdego emigranta przekonanego, iż na nowo wstąpił na ziemię francuską, każdego Francuza przekonanego o zamiar emigracyi, każdego przekonanego o ułatwienie ucieczki emigrującemu, lub powrotu emigrantowi, nakoniec każdego, ktokolwiek dałby schronienie emigrantowi.

Okrutne to prawo inaugurowało trwogę. Brakowało już tylko prawa o podejrzanych.

Kawaler de Maison-Rouge zbyt czynnym i śmiałym był nieprzyjacielem, dla tego też powrót jego do Paryża i pojawienie się w Temple pociągnęły za sobą najsurowsze środki.

W mnóstwie podejrzanych domów dokonano najściślejszego śledztwa, lecz oprócz znalezienia kilku emigrantek, które dały się schwytać i kilku starców nie myślących wcale zaprzeczać katowi pozostałych im jeszcze niewielu dni życia, śledztwa te do żadnego nie doprowadziły rezultatu.

Skutkiem tego wypadku, sekcye, jak łatwo pojąć, były mocno przez kilka dni zatrudnione, zatem sekretarz sekcyi Lepelletier, jednej z najwięcej wywierających wpływu, mało miał czasu do myślenia o swej nieznajomej.

Opuszczając starą ulicę św. Jakóba miał on zamiar o wszystkiem zapomnieć; lecz dobrze mówił przyjaciel jego Lorin:

Kto sądzi iż zapomnieć winien,
Ten lepiej jeszcze pamięta.

Maurycy jednak nic nie mówił, przed nikim się nie zwierzył. Zamknął w sercu swojem wszelkie szczegóły przygody, które uszły badaniu jego przyjaciela, atoli ten znając Maurycego wesołym i wylanym a widząc go teraz ciągle marzącym i szukającym samotności, domyślał się jak powiadał, że łotr Kupido musiał przeszyć go swą strzałą.

Uważać należy, iż w ciągu ośmnastowiekowego istnienia swej monarchii, Francya niewiele miała lat równie mitologicznych jak rok 1793.

Tymczasem kawalera nie ujęto i zaprzestano mówić o nim. Królowa owdowiała po mężu, osierociała po dziecku, we łzach jedynie szukała pociechy, ilekroć zostawiono ją samą z córką i siostrą.

Młody Delfin zostając w ręku szewca Simona, znosił męczarnie, skutkiem których o parę lat później połączył się z ojcem i matką. Na chwilę więc nastała cisza.

Góralski wulkan spoczywał gotując się do pochłonięcia żyrondystów.

Maurycy czuł cały ciężar tej ciszy, równie jak się czuje ciśnienie powietrza podczas burzy, a nie widząc jak korzystać z wolnego czasu który go całkiem oddawał uczuciu zbyt do miłości podobnemu, odczytał list, pocałował piękny swój szafir i mimo uczynionej przysięgi, postanowił uledz pokusie, przyrzekając sobie że czyni to po raz ostatni.

Miał wprawdzie zamiar udać się naprzód do sekcyi ogrodu botanicznego i zasięgnąć niektórych wiadomości u jej sekretarza, jako u swego kolegi lecz wstrzymała go od tego kroku pierwsza i wyznać winniśmy jedyna myśl, że piękna jego nieznajoma jest wwikłana w jakąś polityczną intrygę, a obawa, aby przez swą ciekawość nie zaprowadził tej zachwycającej kobiety na plac rewolucyi, aby głowa tego anioła nie spadła na rusztowaniu, okropne drżenie sprawiała we wszystkich jego żyłach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Wojtuś ani chwili się nie wahał w wyborze stanowiska; mógł sobie obrać wygodne i spokojne, opasując się neutralnością i nie mięszając do niczego; wybrał rolę czynną, bo ta i z jego charakterem lepiej się zgadzała i była jakby dalszym ciągiem tradycyi, przekazanej mu przez zacnego ojca.

Życie więc musiało być ofiarne żołnierza, którego żołdem spokój sumienia i pociecha z dopełnionego obowiązku — na własnym koszcie walczącego dla idei i wiary.

Wojtusiowi szło wcale nie źle, mimo to zyskał sobie szacunek, poparcie, zajął stanowisko w szeregu prostego żołnierza nie w ostatniej kolumnie.

Ile razy wypadało mu z obowiązku jako lekarzowi ubogich pójść na Chwaliszewo, a przechodzić mimo kamieniczki zajmowanej niegdyś przez Rejentową, zawsze mu na pamięć przychodziła ostatnia bytność u niej i ten biedny Kajo, który jakby w wodę wpadł, wcale o sobie nie dawał znać i dość długo żadnej o nim nie było wiadomości.

— Co się z nim też stało? — mówił w duszy Wojtuś — zachciewa mi się choćby przez ogłoszenie w dzienniku huknąć do niego — lecz któż wie, jakie on czyta i czy ma czas jakiekolwiek dzienniki czytywać?

Tak lat kilka upłynęło.

Wojtuś dorobił się pracą przynajmniej tyle, że się o swój chleb powszedni nie potrzebował troszczyć.

Całem nieszczęściem dlań było, że miał serce czułe i garb na plecach.

Zakochiwał się co roku w jakiejś pięknej pannie i musiał w pomoc wyzywać rozum, ażeby nie puścić się w niedorzeczne konkury, a nie narzucić biednej jakiej dziewczynie, którąby — jak mu się zdawało, uczynił nieszczęśliwą.

Wprawdzie teraz mając nadwornego krawca, który z jego plecami bliższą zabrał znajomość, doprowadził z pomocą waty i pikowania umiejętnego garb swój do minimum, zawsze jednak czuł go na plecach i na sumieniu.

Kochać się, ożenić, otoczyć rodziną było jego najgorętszem życzeniem — rozum stawał na drodze i nie dopuszczał.

— Życie — mówił sobie — nie jest znowu tak bardzo długie, w ciężkiej pracy upływa ono szybko — a wolę umierać nie doznawszy należnego mi trochę szczęścia, ale nie męcząc się cudzem cierpieniem, którebym miał na mojej duszy.

Gdy wojna o Szlezwig wybuchła i lekarzy dla wojska potrzebowano, Wojtusiowi trafiało się zająć miejsce przy jednym z pułków — odmówił go. Część wojsk ciągnęła przez Poznań na tę wyprawę, mającą rozpocząć szereg cały wypadków politycznych, do których się Niemcy wewnętrzną fermentacyą przysposabiały, gdy jednego rana — śpiącego po długiem przy chorym czuwaniu garbusa zbudził służący, oznajmując, że jakiś wojskowy mówić sobie z nim życzy.

— Dajże ty mi pokój, wiesz, że z wojskowymi nie mam żadnych stosunków, to być musi jakaś omyłka. O piątej poszedłem spać, któraż teraz godzina?

— Siódma, ale ten pan domaga się koniecznie.

— Co za pan? jak wygląda?

Służący ruszył ramionami. — A no, jak oni wszyscy, ale trochę mówi po polsku.

— Wprowadź go tu...

Story jeszcze w sypialni nie były popodnoszone — mrok w niej panował i gdy w progu ukazał się mężczyzna słusznego wzrostu w mundurze, Wojtuś przypatrując mu się, nie mógł poznać w nim nikogo ze znajomych. Dopiero gdy się zbliżył o kilka kroków, krzyknął wyciągając rękę:

— Wolski...

— A tak ja! ja... — akcentem nieco popsutym, z uśmiechem odparł przybyły. — Jak się masz!

Usiadł przy łóżku... podniesiono story, Wojtuś wpatrzywszy się w niego, znalazł go mocno postarzałym i jeszcze mizerniejszym niż ostatnią razą.

— Cóż ten mundur znaczy? — zapytał.

— Jako lekarz ochotnik... idę z wojskiem — szepnął Wolski i westchnął. — Cóż robić... muszę.

— Jakże ci się powodzi?

Wolski opuścił oczy na czapkę, którą trzymał w ręku.

— Żyjemy — rzekł — znosimy niedostatek, ratuję się, jak mogę.

— A krewni żony?

Kajo zaczął się śmiać gorzko i nie odpowiedział nic.

— Na pomoc ludzką trudno rachować — odezwał się cicho — a ja, mimo, że pracy nie szczędzę, szczęścia nie mam. Do każdego miejsca tylu się ciśnie. Naturalnie prędzej je otrzyma krajowiec odemnie.

— Popełniłeś też błąd nie osiedlając się we własnym kraju!

— To było niepodobieństwem dla Helmy — odparł — ona potrzebuje swoich.

— Ale ty także.

— A! ja... dla mnie ona jest wszystkiem... ona i dzieci.

Z obawą spytał Wojtuś.

— Wiele ich masz?

— Troje — odezwał się Wolski — ostatnie przy piersi.

— Przecież teraz już lepiej ci idzie? gdzież mieszkacie?

— Mieszkaliśmy w Altenburgu, w Chemnitz — w Gotha, w Dreznie, a teraz żonę zostawiłem w Kötschenbroda. W małej mieścinie życie tańsze...

— I nigdzie ci się nie powiodło tak, ażebyś stale się mógł osiedlić?

— Moja w tem zapewne być musi wina — ale nie idzie. Ruszam z wojskiem na kule duńskie — dodał z uśmiechem — może to początek karyery... któż wie?

Wojtuś nic nie odpowiedział, zaczął się ubierać prędko i kazał podać śniadanie.

Wolski spoglądał na zegarek i zdawał się spieszyć, ledwie więc mieli czas zamienić kilka pytań i odpowiedzi, które nie wiele nauczyć mogły.

— Wstyd mnie, mój drogi Wojtku — odezwał się nareszcie Wolski — że nie mogłem dotąd i dziś jeszcze nie będę mógł się uiścić z długu.

Ruszył ramionami. — Nigdy tylu nawet frydrychsdorów nie miałem razem w mojem posiadaniu, ileś ty mi ich dał wówczas na drogę.

— Wszędzie gdzie jestem, klientela moja składa się prawie z biedaków, co po pięć srebrników płacą za poradę lub nawet po półtrzecia. Żonie, dzieciom zawsze czegoś potrzeba, ja się obchodzę jak mogę, przestałem nawet palić cygaro i z tem mi zdrowiej. Gdyby nie Vorschuss, którym się z Helmą podzieliłem, nawet na kampanią tę wybraćby się było trudno. Są ludzie predestynowani. — Garbus nie chciał już czynić wymówek zapóźnych, które się na nic nie przydały, odwrócił rozmowę.

— Widzę — odezwał się — że trudno jakoś mówisz po polsku.

— A! bo prawie tego języka nie używam. W domu mówić muszę po niemiecku... otoczony jestem Niemcami. Rzadko spotykam ziomków i tych unikać muszę. Przyznam ci się, że nie wiem, dlaczego Helma wstręt ma i uprzedzenie przeciw Polakom... może nie bez przyczyny... my...

— Stój — zawołał Wojtuś — zostaw Niemcom te wyrzekania na nas i zapożyczane czarne malowidła od stu lat powtarzane. Nie lubię ich słuchać.

Wolski zarumieniony przerwał.

— Więc i książek nie czytujesz! — podchwycił garbus.

— Nawet ich nie widuję — z początku mi było tęskno... teraz, gdy gorsza stokroć tęsknota za chlebem dokucza, zapomina się o wszystkiem.

Gospodarz nie wiedział już, o czem mówić, tak go stan tego biedaka na pół już zniemczonego, zobojętniałego poruszył i obruszył. Pół godziny spłynęło na ogólnych gawędach o wojnie, o medycynie, o dawnych towarzyszach i ich losach, zdala się dał słyszeć bęben w ulicy i Wolski pospiesznie pożegnał dawnego przyjaciela, który daleko chłodniej teraz rozstawał się z nim niżeli go witał.

W r. 1865 garbus, który chciał i potrzebował się rozerwać, razem ze szwagrem swym, teraz już jakoś lepiej będącym w interesach, postanowił latem odwiedzić Szwajcaryą saską.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

Nie straszcie dzieci.

Mało jest matek, któreby wychowały dzieci bez straszenia. Ileż to razy się słyszy:

— Nie płacz, bo wilk pomyśli, że to inny wilk tak wyje i przyjdzie do ciebie.

— Jak nie będziesz grzeczny, to cię murzynowi oddam.

— Krzycz, krzycz, wsadzi cię baba do worka to się uciszysz.

Powtarza się to często, codzień niemal, bez zastanowienia, tak sobie, byle tylko dziecko jak najprędzej uspokoić i żadnej z tych strasznych matek nie przyjdzie na myśl, że ułatwiając sobie zajęcie się dzieckiem, jemu czynią wielką krzywdę. Przedewszystkiem psują mu zdrowie, bo strach oddziaływa źle na nerwy, może doprowadzić nawet do ciężkiej choroby, do konwulsyi lub zapalenia mózgu. Nam groźba, że „wilk przyjdzie, murzyn weźmie“ — wydaje się na pół żartem, ale dziecko bierze je zupełnie poważnie i rozszerzonemi strachem oczkami spoziera naokół, czy nie idzie ów nieznany mu, lecz przeczuwany potwór, aby go zabrać, a serduszko wali jak młotem...

Wyobraźmy sobie, że przed nami staje bandyta, mierzy do nas z rewolweru i woła:

— Ręce do góry!

Wiemy, że wypełnienie rozkazu zapewni nam życie, a jednak taka pogróżka nabawiłaby nas niemałego strachu i może przyprawiła o chorobę. Otóż groźby wychowawczyń, zwracane do dzieci, działają nań nierównie, silniej, jak na nas taka przygoda z bandytą. My zatem w każdym obcym człowieku widzielibyśmy bandytę, dziecko w każdej starszej kobiecie, babę z workiem, w kątach pokoju, pod meblami, w ciemności roją mu się dziwne potwory i czynią życie strasznem i nudnem.

Pamiętam, jak dzieckiem będąc, z zapadnięciem zmroku siadałam na nogach, bo sądziłam, że gdy je spuszczę na dół, zaraz mnie za nie uchwycą jakieś okropne ręce. Pamiętam, jak dodostawałam dreszczy na widok kominiarza. Jak żebrak z torbami był dla mnie groźną postacią. Jak do ciemnego pokoju za nicbym nie weszła. Jak obudziwszy się w nocy, płakałam rzewnemi łzami z obawy ciemności. Krzyk puszczyka nabawił mnie silnej gorączki.

A przecież byłam podobno wyjątkowo odważnem dzieckiem. Są jednak takie, przy których mimo lampki nocnej trzeba siedzieć nim zasną, które boją się leżeć w łóżku i gramolą się do łóżka matki, które w biały dzień nie zostaną same w domu.

Oto mamy wielką krzywdę, jaką wyrządza dzieciom straszenie — utrudnia im niezmiernie życie. I nie im tylko, ale także ich otoczeniu. Zdarza się, że taki lęk, w dzieciństwie zaszczepiony pozostaje na całe życie i rozstraja nerwy i naraża na pośmiewisko nieszczęsne ofiary niemądrego zwyczaju wychowawczyń.

Przepisy naszych Gospodyń

łaskawie nam nadesłane.

Musztarda:

Gorczycę startą na proszek zaparzyć gotującą wodą, rozetrzeć dobrze — zostawić na półmisku niech przez dwa dni wietrzeje. Po dwóch dniach zagotować octu z korzeniami, dodać 4 łyżki cukru, 3 łyżki powideł pomidorowych; wlać to wszystko do donicy z gorącą wodą i mocno ucierać. Jeżeli potrzeba rozpuścić octem a musztarda będzie bardzo dobrą.

Baranina:

Ubić doskonale na miazgę plasterki baraniny posolić, popieprzyć, posypać siekaną cebulką, pietruszką i koprem. Plasterki tak przygotowane ułożyć w rondlu na plasterkach słoniny i dusić godzinę, a będą doskonałe. Podawać mozna z ryżem w rozsypkę.

Galareta pomarańczowa:

Z 1 funta cukru i 3 szklanek wody zrobić syrop, wyszumować dobrze. Wlać w niego sok z 6-ciu pamarańcz i jeszcze raz zagotować. Gdy ostygnie dodać do tego 14 listków białej żelatyny rozprowadzonej w wodzie. Potem wszystko dobrze wymieszać wlać w formę i wynieść do piwnicy. Formę wpierw w wodzie zmaczać.

Dom i kuchnia.

Ciastka francuskie.

Wziąć pół litra mąki, 1 całe jaje, szklankę masła, pół szklanki śmietany, 2 łyżeczki cukru, zagnieść i wynieść na kilka godzin do chłodnej

piwnicy, najlepiej zarobić ciasto wieczorem i niech tak postoi przez noc. Drugiego dnia rozwałkować, składać kilkakrotnie w kopertę wałkując za każdym razem, poczem foremką wykrawać ciastka, smarować rozbitem jajkiem, posypać cukrem i wstawić do gorącego pieca.

Niekosztowna szarlotka.

Stosownie do ilości osób, należy udusić w krótkim sosie z cukrem jakikolwiek owoc, np. morele, śliwki, gruszki, lub jabłka, potem ostudzić, a oddzielne czerstwe bułeczki obetrzeć ze skórki, pokrajać w plasterki, każdy z nich umaczać w roztopionem maśle i formę gładką i okrągłą — lub rondel wysmarowany suto masłem i oprószony bułeczką — całą starannie plasterkami bułki wyłożyć, tak, aby wszystkie próżne miejsca były zapełnione. W tak wyłożoną formę złożyć ostudzony kompot, z wierzchu pokryć pozostałemi plasterkami bułki i wsunąć w piec niezbyt gorący, a gdy się legumina zrumieni, wyłożyć ją na półmisek i posypać miałkim cukrem.

Kapusta po żmudzku.

Z kapusty kwaszonej w główkach obrać liście, rachując na każdą osobę po dwa listki; wykroić grubsze żeberka tak, aby nie pokaleczyć całości. Oczyścić ryż albo piękną jaglaną kaszę, ugotować w mleku pieczone mięso kury, kaczki lub innego drobiu, pokrajać w drobne paseczki; w braku drobiu można używać mięsa prosięcia, zmieszać z ryżem lub kaszą, dodając w proporcyi pieprzu, soli, muszkatołowej gałki lub kwiatu pomarańczowego, całych surowych jajek, młodej słoninki drobno krajanej; nadziewać tem listki, zwijając w trąbkę, okręcać czystą nitką, układać szczelnie w rondel wysmarowany masłem, posypany bułką suchą tartą, nakryć pokrywą i wstawić w dobrze gorący piec, na pół godziny lub trzy kwadranse. Garstkę tartej bułki zrumienić w maśle, lub przetopionej słoninie; gdyby nie była dosyć rumiana, dodać parę łyżek bardzo mocnego buljonu, albo karmelu, byleby tylko nie był zanadto spalony, i kilka łyżek rosołu, gdyby sos był za gęsty. Wyjętą kapustę z pieca uwolnić z nitek, ułożyć na półmisku, oblać przecedzonym sosem. Kapustę taką można nadziewać śledziem, grzybkami, gołąbkami, wieprzowem mięsem, lub wołową polędwicą.

Sałata z pomarańczy

przygotowuje się w sposób następujący. Wziąć dwie pomarańcze, z tych jedną malinową — obie obrać i pokrajać w cienkie plasterki. Ułożyć na salaterce odmieniając kolory — posypać cukrem i skropić likierem maraskino lub syropem ananasowym.

Jak zapobiedz prędkiemu więdnięciu kwiatów w bukietach.

Kwiatów nigdy nie wiązać, lecz wkładać swobodnie do wody, do której wpuszcza się kilka kawałków węgla drzewnego. Nie kłaść nigdy rezedy do innych kwiatów, zwłaszcza do róż, które w połączeniu z rezedą od razu więdną. Wogóle rezeda działa trująco na wszystkie inne kwiaty i zanieczyszcza wodę, która od łodyg rezedy rozkłada się prędko.

Łatwe pranie czarnych koronek i woalek.

Piwa czarnego (słodowego) pół butelki, tyleż wody letniej — podzielić na dwie części, w pierwszej uprać koronki, wpierw jedwabiem ponaprawiane, w drugiej wypłukać, z lekka wycisnąć w rękach, rozłożyć, o ile można na ręczniku, a gdy prawie zupełnie są suche, po lewej stronie niezbyt gorącem żelazkiem prasować. Koronki i woalki tak prane są czarne i zupełnie sztywne.

Najlepszy sposób zaprawiania posadzki.

Najlepszą, najtańszą i najłatwiejszą do froterowania zaprawą, jest wosk, rozpuszczony w benzynie, rozumie się na zimno. Wosk pokrajany w drobne kawałki rozpuścić na ogniu, a potem gdy już zaczyna krzepnąć, rozprowadzić benzyną, dolewając potrochu i mieszając drewienkiem. Robić to w miejscu gdzie niema ognia, i w dzień. Masą pociągnąć posadzkę dolewając benzyny w miarę jak masa gęstnieje, i wycierać szczotką lub suknem. Taka zaprawa usuwa tłuste plamy, ma świetny połysk i lekko się froteruje. Wytarta codzień suknem, zatrzymuje długo świeżość.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Zupa rumiana z jarzynkami, sztuka mięsa z ogóreczkami, pieczony indyk z kompotem.

Poniedziałek. Krupnik, pieczeń wołowa z buraczkami, nie kosztowna szarlotka.

Wtorek. Zupa neapolitańska z makaronem, kotlety cielęce z groszkiem, bezy ze śmietaną.

Środa. Zupa grzybowa, jajka w szarym sosie, omlet z konfiturami.

Czwartek. Czernina z kluseczkami, kaczki pieczone, kompot mieszany.

Piątek. Zupa rybna biała, szczupak smażony z kapustą, wafle z kremem.

Sobota. Barszcz ze śmietaną z kartoflami, makaron zapiekany w formie, krem pomarańczowy z biszkoptami.

HUMORYSTYKA

Sprawiedliwa zapłata.

— Czy nie mógłbyś mi mój chłopcze powiedzieć, gdzie jest dom pana Zaleskiego? — pyta sprzedającego papierosy na ulicy przyjezdny do małego miasteczka.

— Owszem — odpowiada chłopiec — ale jak dostanę za to dziesięć groszy.

— Jak najchętniej, słusznie ci się to należeć będzie — mówił przyjezdny podając mu pieniądz. — Gdzież dom ten leży?

— Właśnie rok temu, podczas pożaru spalił się ze szczętem.

Dlaczego umierają?

— Dlaczego w szpitalu państwa tak wielu chorych umiera — zapytuje zakonnicy przyjezdny na rewizyę?

— Dlaczego? Bo ci biedacy muszą przyjmować wszystkie bez wyjątku lekarstwa jakie im doktorzy zapisują.

Przed sądem.

— Dla czego pani podpisuje się na protokule Zalewska — Waligórska? — pyta sędzia zbadanej w charakterze świadka młodej energicznej kobiety.

— Bo nazywam się z domu Zalewska, a z męża Waligórska.

— Ale dla czego podpisując się tak, oddziela pani swoje nazwisko panieńskie od mężowskiego pauzą?

— Dla tego proszę pana sędziego, ażeby każdy wiedział, że od dwóch lat żyję w separacyi z moim mężem.

W szpitalu wojskowym.

Młody doktor wyjmuje z ręki rannego oficera kulę i przyjrzawszy się jej odzywa się do niego:

— Daj mi pan ją na pamiątkę, jest to bowiem pierwsza kula, jaką wyjąłem z ciała wojskowego.

— Nie mogę panie doktorze, jest to bowiem pierwsza kula, jaka dostała się do mojego ciała — odpowiada wojskowy chowając ją do kieszeni.

Znakomity lekarz.

Do chorego na ból głowy wołają doktora. Opukawszy go ze wszystkich stron i wysłuchawszy bicia serca nasz drugi Chałubiński odzywa się do żony chorego:

— Mąż pani znajduje się w niebezpieczeństwie życia. Nie ręczę za niego. Ręce i palce ma czerwone. Jest to szkarlatyna a że przytrafia się ona rzadko w późniejszym wieku, przeto nadziei pani nie robię.

— Ależ panie doktorze — odzywa się do niego kobieta — mój mąż jest z zawodu farbiarzem i właśnie dziś rano maczał wełnę w czerwonej farbie.

— W takim razie — odpowiada jej niezmieszany doktor — na szczęście będę go mógł uratować.

Z powołaniem się minął.

Pewien magnat był właścicielem wspaniałej biblioteki, i nadzór nad nią powierzył niezmiernie ograniczonemu człowiekowi, który w życiu swojem żadnej książki nie przeczytał.

— Dla czego, mój drogi, nie zrobisz go raczej swym kasyerem — odezwał się do niego ktoś, kto miał sposobność z nim rozmawiać?

— Jakto kasyerem?

— Bo on nie dotyka przedmiotów, powierzonych jego pieczy.

Dobra rada.

Młoda wdowa radzi się lekarza:

— Panie doktorze, cierpię na ciągły ból głowy; daj mi pan skuteczną jaką radę.

Lekarz: Niech pani wyjdzie za mąż, to wtedy męża głowa boleć będzie...

Zmiana zapatrywania.

Lola: Mówiłaś mi przecież, że nie znosisz Plasterkiewicza?

Tecia: Tak, dopóki mi się nie oświadczył.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.“.
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.